Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

Cena 10 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 11 maja 1947 r. | Nr 19 (76)

TREŚĆ NUMERU: Z. Przetakiewicz — Poglądy emigracji, L. Niżyński — Sąsiedzi, St. Podlewski — Przemarsz przez piekło, E. Grygolunas — Ku nowym drogom, A. Gostecki — O słowach niepoważnych i słowach przekory, St. Okęcki — Tow. św. Wincentego a Paulo, Czar munduru, Szeroki horyzont — Sprawy niemieckie.

Jan Dobraczyński

GRANICA PRAW MORALNYCH

Przed tygodniem zaledwie wyszła w Rzymie nakładem znanej katolickiej firmy wydawniczej (tej samej, która wydaje rok rocznie oficjalny Annuario Pontifice), mała, ale niezmiernie potrzebna broszka ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego p. t. „Granica między Polską a Niemcami"*).

Przedmowę do broszury miał napisać J. E. ks. biskup Józef Gawlina — niestety warunki techniczne wydania broszury uniemożliwiły uzupełnienie jej tą przedmową. Tym niemniej broszura spełnia swoje zadanie i jest cenną pozycją wydawniczą na rynku włoskim.

Jej autor jest dobrze znany. Jeden z najtęższych biblistów polskich był już przed wybuchem wojny, mimo młodego wieku, nie tylko profesorem Seminarium Metropolitarnego w Warszawie i docentem Uniwersytetu Warszawskiego, ale także autorem wielu cennych prac, jak „Na szlakach działalności Chrystusa w Palestynie", „Proces Chrystusa", „Ewangelie", „Chrystus" i wykładowcą na studium Wiedzy Katolickiej przy Archidiecezjalnym Instytucie Akcji Katolickiej w Warszawie. Książki i wykłady ks. Dąbrowskiego nie miały w sobie nic z suchego nudziarstwa, jakim się odznacza — niestety — większość podobnych im w treści utworów. Miły swój styl, barwny, żywy język, dużą siłę przekonywania. Prawdopodobnie to sprawiło, że ks. Dąbrowski już w tym czasie był jednym z tych wykładowców, którzy potrafią nawet laików pociągnąć ku trudnym — i napozór suchym — tematom biblijnym.

W czasie wojny ks. Dąbrowski został proboszczem parafii na Kamionku, dziś największej liczebnie parafii w Warszawie i chyba w Polsce. Dwukrotnie aresztowany przebywał za każdym razem jakiś czas na Pawiaku. Nie przeszkadzało mu to intensywnie pracować naukowo: w tragicznym okresie walki o byt, w czasie, gdy duża większość naukowców uważała się za zwolnionych z pracy naukowej, ks. Dąbrowski dokonał nowego przekładu całego Nowego Testamentu, wykończył ogromne dzieło, przygotowywane od lat p. t. „Święty Paweł" oraz napisał studium o religii Izraela, będące, podobnie jak książka ks. arc. Teodorowicza „Od Jahwy do Mesjasza", polemiką z „Hellenizmem i Judaizmem" T. Zielińskiego, nie mówiąc o innych drobniejszych pracach.

Wyjechawszy przed pół rokiem do Rzymu ks. Dąbrowski spotkał się — po raz pierwszy po wojnie — z opiniami świata zachodniego na temat problematów polskich. Te opinie poruszyły go. Trudno się temu dziwić. Przybywszy w parę miesięcy po ks. Dąbrowskim do Rzymu byłem przerażony poglądami, jakie się wypowiada — może nie koniecznie w samym Rzymie — ale we Włoszech, we Francji, w Szwajcarii, w Belgii na tematy polskie, a przede wszystkim na temat dla nas najważniejszy, najżywotniejszy — na temat naszej granicy zachodniej.

Trzeba znaleźć się choć na parę dni na zachodzie, by zrozumieć, jak potwornie wielkim niebezpieczeństwem są wciąż dla Europy Niemcy. Jeszcze przed paroma dniami, lecąc z Zurichu do Warszawy, miałem w rękach ilustrowane pismo szwajcarskie „Du", w którym wśród reprodukcji rysunków dziecinnych pokazuje się rysunek jakiegoś Andrzeja Ką — małego Polaka — przedstawiający powstanie w Warszawie, z charakterystycznym podkreśleniem, że mały rysownik rysując Niemców, przedstawia zawsze żołnierzy SS, co dowodzi jego dobrej obserwacji, boć przecież żołnierze SA i Wehrmachtu nie byli tacy, jak żołnierze SS... W piśmie szwajcarskim „Signal" widzimy kilka fotografii Gdańska, a pod nimi taki napis: „Nie będziemy umierali za Gdańsk" — pisał przed wojną pewien człowiek, który potem źle skończył. Ale Gdańsk umarł za nas. Nawet stracił swe imię, Polacy bowiem nie nazywają go inaczej, jak Gdańsk (poprzednio zawsze w tekście Danzig!)... „Pod innym rysunkiem: „Teraz polski policjant pilnuje do niedawna wolnego portu"...

O co chodzi? W tymże samym „Signalu" fotografia pochodu Niemców, niosących transparent z napisem „Nie chcemy nic wiedzieć o kaloriach, chcemy chleba". Na innej fotografii przedstawione są ruiny, zaś wymowny napis zapewnia, iż Niemcy bardzo cierpią, widząc swój kraj zrujnowany. O co chodzi? Ano niewątpliwie mamy ślady, że gdzieś z całą intensywnością działa propaganda niemiecka. To ona robi, że na ekranach francuskich ogląda się ckliwie sentymentalną „La grande illusion" z Erikiem von Stronheim w roli arcyszlachetnego niemieckiego oficera, to ona sprawia, że gdy rozmawiam z redaktorem jednego z najpoważniejszych dzienników włoskich, słyszę: „tak, wy macie z waszego stanowiska rację, chcąc zatrzymać ziemie nad Odrą i Nissą — ale przecież to przesiedlenie Niemców jest straszne. To rzecz straszna z punktu widzenia chrześcijańskiego...".

Tak, nie zapominajmy, że termin chrześcijaństwo jest dziś stale używany i nadużywany na zachodzie. Nagle krajem wzorowego chrześcijaństwa stały się... Niemcy. Każda wypowiedź, która płynie z Niemiec, powołuje się na argumenty chrześcijańskie! Ks. Arcybiskup Kolonii, Frings, woła wielkim głosem o barbarzyństwie Polaków, wysiedlających Niemców z Polski. Ks. arcybiskup Groeber z Freiburga im Breisgau powtarza to samo. Ks. Kardynał Faulhaber zwraca się z apelem do Ojca świętego w imieniu cierpiących Niemiec. Ks. A[illegible] Preysing też nie milczy.

Zdobądźmy się na maksimum obiektywizmu. Ani jeden z wymienionych wyżej dostojników Kościoła w Niemczech nie wypowiedział się w obronie Polski ze stanowiska chrześcijańskiego w okresie, gdy w Polsce szalał teutoński terror. Z t. zw. Warthegau wyrzucono w nieprawdopodobnych okolicznościach setki tysięcy ludzi. Niemcy wtedy nie były narodem chrześcijańskim. Nie wątpimy, że wymienieni wyżej dostojnicy — taki czcigodny ks. kardynał Faulhaber — cierpieli nad tym. Czy jednak wystąpili w obronie Polaków? Wiemy, że Watykan nie był, lub źle był informowany o sytuacji. Czy nie było obowiązkiem episkopatu niemieckiego przedstawić Ojcu świętemu z całą otwartością wytworzoną przez zbrodniczy najazd sytuację?

Broszura księdza Dąbrowskiego uderza w propagandę niemiecką. W krótkich, dosadnych zdaniach przedstawia autor kampanię 1939 r. „Nie przypadkiem tylko — pisze — w dniu 1 września 1939 pierwsze bomby niemieckie w okolicach Warszawy spadły na szpital dziecięcy. Była to uwertura do tego, co nastąpić miało. Od owej chwili rozpoczęły się sławne „działania wojenne", t. j. bombardowanie kościołów, szpitali, domów mieszkalnych, pociągów z uchodźcami, a nawet wprost z lotu zniżonego uciekającej w pole ludności cywilnej". Potem mówi o okresie okupacji: „Dla narodów Europy zachodniej jest rzeczą niezmiernie trudną zrozumieć, czym była okupacja niemiecka w Polsce. Skłonni są bowiem mierzyć tę okupację swymi własnymi doświadczeniami. Tymczasem okupacja niemiecka w Polsce niewiele miała wspólnego z t. zw. okupacją militarną, ale od początku przyświecał jej jeden cel — biologiczne wyniszczenie narodu polskiego... Dla zobrazowania, czym była pod tym względem okupacja niemiecka w Polsce, niech mi posłuży tragedia w Fosse Ardeatine, w której 320-tu Włochów zamordowanych zostało w sposób okrutny. Głos oburzenia podniósł się wówczas w całej Italii, a wstrząs psychiczny towarzyszy i dzisiaj wspomnieniom tej chwili. Otóż w Polsce Fosse Ardeatine miały miejsce codziennie przez 5 i pół lat okupacji. I gdybyśmy liczbę 320-tu osób pomnożyli przez liczbę dni pięciu i pół lat — to mielibyśmy tylko cząstkę rzeczywistości polskiej — za czasów barbarzyńskiej okupacji niemieckiej...".

Jeżeli nam słowa broszury wydają się powtarzaniem rzeczy aż do znudzenia znanych, to pamiętajmy, że nie są one wyważaniem drzwi otwartych na zachodzie Europy. Po dziś dzień słucha się tam opowiadań o doli Polski pod okupacją, jak opowiadań o żelaznym wilku. Rozmawiałem z jednym z paważniejszych działaczy włoskiej Demokracji Chrześcijańskiej. Dawał mi uroczyste słowo honoru, że teraz dopiero dowiaduje się, jak u nas było naprawdę. Mówiłem z największym poetą Włoch współczesnych, z Ungerettim — słuchał mnie, mrugając niedowierzająco oczami. Ba, jak się patrzy na Niemców na zachodzie, niech wystarczy oświadczenie pewnej osobistości polskiego emigranckiego środowiska, który nazwał moich „Najeźdźców" książką „zoologicznej, nie do zniesienia nienawiści" do Niemców (każdego zarzutu mogłem oczekiwać, tylko nie tego)!

Czy jednak zbrodnia usprawiedliwia zbrodnię, a gwałt—gwałt? Czy z chwilą, gdy weszliśmy na płaszczyznę problematyki chrześcijańskiej, ma rację bytu powoływanie się na zbrodnie niemieckie?

Broszura ks. Dąbrowskiego odpowiada jasno: „Jest to elementarną zasadą mo-

*) Sac. Dott. Eugenio Dąbrowski „La frontiera fra Polonia e Germania" De Carlo Editore — Roma. 23 pa[illegible]

Wyłyczne

Nadużycie władzy

WIELE rozmów między znajomymi, wiele spotkań i zebrań wypełnionych jest komentowaniem przejawów nadużycia władzy. Zakres opowiadanych codziennie faktów jest niezmiernie szeroki. Najbardziej niepokojące wiadomości dochodzą z prowincji.

Omawiane zjawisko ma charakter tak nagminny i masowy, że wymaga publicznego i jasnego wyrażenia zdania. Wydaje się nam, że należy rozróżnić stosunek do treści wydanych ustaw, od stosunku do sposobu wykonywania tychże samych praw.

Walka o zmianę treści obowiązujących ustaw jest praktycznie dostępna jedynie dla poważnych ruchów ideowych czy też dużych stronnictw politycznych. Droga dla ludzi, którym uchwalone prawo nie odpowiada — jest drogą precyzji własnych poglądów ideowych i wiedzie przez dojrzałą działalność polityczną w wielkim stylu.

Innego natomiast formatu jest kwestia walki z bezprawiem przy stosowaniu obowiązujących przepisów. Jest to przede wszystkim kwestia odwagi, zaradności i poczucia osobistej odpowiedzialności. Wydaje się nam zupełnie fałszywą i podejrzaną radość, z jaką szereg ludzi omawia bezprawia we współczesnej Polsce.

Nie wolno cieszyć się ze zła we własnym kraju. Trzeba natomiast starać się o ścisłe ustalenie każdej wiadomości o bezprawiu i w oparciu o fakty protestować w sposób jak najbardziej zdecydowany. Każde bezprawie urzędnika powinno wywoływać reakcję dotkniętych nim obywateli. Zwierzchnicy urzędników muszą ponosić konsekwencje nadużyć swych podwładnych.

Opozycyjne nastawienie do tej czy innej treści obowiązującego prawa nie usprawiedliwia rezygnacji z walki o sposób jego stosowania.

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W BYDGOSZCZY

W kraju...

PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

NA wniosek Komisji Centralnej Związków Zawodowych Rząd postanowił zaniechać obchodów i uroczystości w dniu 3 i 9 maja. Wydaje nam się, że coś nie jest tu w porządku. Mniejsza o rocznicę końca wojny. Pamięć o niej i tak pozostanie tak długo, jak długo istnieć będą skutki minionego kataklizmu i jak długo grozić będzie niebezpieczeństwo powtórnego zbiorowego szaleństwa. Jeśli później dzień 9 maja ulegnie zapomnieniu i następnym pokoleniom trudno będzie zrozumieć, jak na świecie dojść może do konfliktów zbrojnych, nikt na tym nie straci.

Inaczej jednak wygląda sprawa trzeciego maja. Jest to bowiem także święto kościelne i to do tego pierwszej klasy. O zniesieniu go i przeniesieniu nie należy decydować jednostronnie. Jeśli nakaz odbudowy wymaga zaniechania odpoczynku, należałoby uzgodnić to z Kościołem.

W każdym razie, każdy kto przyznaje się do uczestnictwa w społeczności katolickiej, musi pamiętać o religijnym charakterze dnia 3 maja, o obowiązku zwrócenia się w tym dniu do Boga i Jego Matki, Królowej Polski. Ten charakter dnia musi być zachowany mimo podjęcia normalnych zajęć. To zaś leży w sferze możliwości indywidualnych każdego katolika, byle tylko nie próbował usprawiedliwiać własnej opieszałości warunkami zewnętrznymi.

Postanowienie podjęcia pracy w dniu 3 maja traktujemy jako wypadek sporadyczny. Być może, że w roku przyszłym zlikwidowaniu ulegnie inne ze świąt państwowych. O stałym zaniechaniu obchodu tego dnia decydować może jedynie Sejm Rzeczypospolitej. Nie wyobrażamy sobie, by jego uchwała mogła zerwać tradycję, która od tak wielu lat wysuwała 3 maja na czoło rocznic narodowych.

KATOLICY I WYCHOWANIE

W TOKU dyskusji nad budżetem Ministerstwa Oświaty pos. Bieńkowski Witold z Katolickiego Klubu Poselskiego wystąpił ostro przeciwko odmawianiu zakonom niezbędnych dotacyj na oświatę. Przy tej okazji zajął stanowisko wobec ogólnego problemu etatyzacji szkolnictwa, która „jest sprzeczna z demokracją". Pos. Bieńkowski powiedział: „Kościół nigdy nie zrezygnuje z wpływu na kształtowanie pojęć młodzieży". Dalej zaznaczył, że nie wolno odmawiać szkołom i kursom prywatnym pomocy finansowej państwa.

W ten sposób postawiony został jasno problem stosunku katolików do polityki oświatowej i raz jeszcze zaakcentowane negatywne stanowisko wobec prób likwidacji szkolnictwa prywatnego, co w konsekwencji prowadzi do nadmiernej ingerencji biurokracji w sprawy żywego człowieka na najbardziej istotnym dla niego odcinku kształcenia osobowości i intelektu.

KULTURA I MATERIA

DLA nikogo nie jest tajemnicą, że sytuacja ekonomiczna Polski jest ciężka. Po zniszczeniach wojennych jesteśmy dopiero na dorobku i niewątpliwie należy prowadzić politykę oszczędnościową. Trudno jednak przyznać, by pozycje skreślane z budżetów były zawsze dobierane szczęśliwie. Czasem zaś dobierane są wręcz fatalnie. Przykładem tego może być zmniejszenie budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki do 0,4 proc. ogólnego budżetu (w roku ubiegłym 1 proc.), co przy wzroście cen stwarza sytuację nadzwyczaj ciężką.

Mniejsza zresztą o ministerstwo. Nie jesteśmy przekonani o konieczności jego istnienia. Ale przecież te sumy, to nie tylko budżet instytucji, ale przede wszystkim poszczególnych dziedzin życia kulturalnego Polski. Kultura ma zaś to do siebie, że musi być oparta o pewne minima materialne. Może to przykre, ale niewątpliwe. Trudno więc sobie wyobrazić, by przy tego rodzaju posunięciach doszło do odbudowy zniszczonej kultury, nie mówiąc już o postępie, czy upowszechnieniu. A może by tak jednak lepiej poobcinać inne budżety

ralną, że zbrodniarz musi za swe winy ponieść karę. Pozostawienie zbrodni bez kary byłoby naruszeniem porządku moralnego, czego rezultaty niedugo kazały by na siebie prosić. I nie może być mowy o zaprowadzeniu jakiegoś „ordo" w powszechnym tego słowa rozumieniu, dopóki zbrodniarz jest na wolności, naigrywając się z obowiązujących praw... Na takim tle rozważana kwestia granicy polsko-niemieckiej nabiera już nie tylko właściwego zabarwienia, ale zasadniczej postawy moralnej, którą przede wszystkim na uwadze mieć trzeba... Zasada sprawiedliwości wymagała i wymaga, aby zdewastowana Polska miała możność odbudowy swego bytu państwowego i zabezpieczenia go w granicach, które by na przyszłość uniemożliwiły ponowny szał germańskiego obłędu i chęci zniszczenia... Granica na Odrze i Nisie, zatwierdzona przez uchwały poczdamskie, jest wyrazem żądań całego narodu. I w żadnym innym punkcie polityki rząd polski nie jest tak jednomyślnie i bezwzględnie popierany przez cały naród bez różnicy wyznaniowej, politycznej, czy też walk programowych, jak w dążeniu do ostatecznego ustabilizowania granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nissie, będącej wyrazem czystej sprawiedliwości i zadatkiem prawdziwego pokoju: opus iustitiae pax...".

Znowu stwierdzenia ks. Dąbrowskiego mogą się nam wydać czymś aż nadto znanym. Inaczej jest jednak na zachodzie. Tam nawet Polacy — emigranci (nie mówię zresztą o tych, którzy dla przeprowadzenia swej gry politycznej gotowi są zrzec się całkowicie ziem odzyskanych) uważają, że nasze prawo moralne do ziem nadodrzańskich jest conajmniej wątpliwe! W ą t p l i w e !

Ks. Dąbrowski mówi krótko, ale dobitnie o polskości ziem odzyskanych. Przypomina prawa historyczne i etniczne. Szkoda, że nie została przetłumaczona na jeden z języków zachodnich niepospolicie ciekawa broszura — najciekawsza z broszur tego typu — prof. Karola Stojanowskiego „O reslawizację wschodnich Niemiec"**), w której znany badacz spraw niemieckich wykazuje słowiańskość ziem już nie po Odrę, ale po Łabę. Pisze Stojanowski o tym, jak „żywioł słowiański wewnątrz niemieckiego organizmu walczył nawet po zgermanizowaniu go... Dziś uczeni, badający historię Słowiańszczyzny, wysuwają hipotezę, że średniowieczne wojny chłopskie były właściwie butami chłopskiego elementu słowiańskiego przeciw niemieckim panom. „Sami Niemcy to przyznają. Stojanowski cytuje R. Nadolnego „Germanisierung oder Slavisierung ", stwierdzającą, że istnieje „odrębny typ czowieka wschodnio-połabskiego" i proponującą „wytworzenie na wschód od Łaby nowego narodu, mówiącego wprawdzie po niemiecku, ale mającego swą własną a odrębną od reszty Niemców świadomość narodową. Nie inaczej stwierdza inny — rasistowski nawet — pisarz niemiecki, E. von Kappher, pisząc w „Germaniches und Slavitsches im Osten", że „z wyjątkiem nielicznych wysp czysto niemieckich całe wschodnie Niemcy są przetkane elementem słowiańskim...". Merkenschlager i Saller szli jeszcze dalej, twierdząc, że „Niemcy nie są już ani germańskie, ani słowiańskie, ani celtyckie, gdyż powstaje z tych elementów składowych nowa rasa niemiecka...".

Z własnej obserwacji mógł bym jeszcze dodać, że znak słowiański dwóch głów końskich, wieńczących wiązania dachu, jest znakiem wszędzie spotykanym w Meklemburgii, że w tejże Meklemburgii istnieją miasteczka, mające nazwy: Kraków, Tarnow, Teterow, że postać Hugona Kostrzewy nie jest wyłącznie fikcją literacką. Tysiącletnia walka Niemców ze Słowiańszczyzną była nie tylko walką o ziemię. W większym może jeszcze stopniu była walką o krew ludzką. W środku Europy od setek lat istniała prawdziwa hodowla janczarów, wylęgarnia Kostrzewów, Jesionków, Nadolnych, Mateyków „Zapytajmy wreszcie — pisze ks. Dąbrowski — tego oto chłopca z najbliższej okolicy Wrocławia, jakiej jest narodowości, a w niejednym wypadku odpowie: Ich bin Pole".

Czyż jest sprawą moralną ze stanowiska chrześcijańskiego, aby istniała w dalszym ciągu na ziemiach niezaprzeczalnie słowiańskich świadoma degeneracją dusz słowiańskich, aby stare, zwapniałe żyły narodu niemieckiego karmiły się świeżą krwią słowiańską, by potem mieć siłę do nowych gwałtów? SOS — woła tonący okręt. Ratujcie dusze Słowian, zatruwanych niemczyzną — powinno było być oddawna hasłem Europy. Ale Europa nauczyła się spać snem własnej wygody i własnych korzyści. Potem dziwi się: jacy ci Niemcy są silni i młodzi. To nie Niemcy są młodzi — to krew słowiańska, krew polska gra im w żyłach! But jasnowłosego Słowianina w niemieckim mundurze zdeptał Europę i północną Afrykę. Gdyby tego Słowianina nie było, bestialstwo Niemców wyładowywałoby się tylko w beznadziejnie naiwnych teoriach rasistycznych, w gadaniu i w pisaniu. Jeśli Europa chce mieć Niemców łagodnych, silnych tylko w języku — niech im nie pozwoli być pasożytem na drzewie Słowiańszczyzny! Niegdyś los Europy decydował się, gdy na polach Katalońskich walczyli ze sobą Germanie w zbrojach rzymskich z Germanami w zbrojach germańskich. Dziś los świata zadecydowała wojna Słowian w mundurach państw słowiańskich ze Słowianami w mundurach niemieckich. Od fabryk, które dziś szyją mundury niemieckie, zależy, czy wojna ta j u ż jest zakończona, czy też potrzebny jeszcze będzie — epilog!

Z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej, z punktu widzenia katolicyzmu nie jest rzeczą obojętną, czy nad Odrą są kirchy, czy kościoły. Rozkład protestantyzmu toruje drogę nowym doktrynom w stylu hitleryzmu. Trzy administracyjne prowincje kościelne na ziemiach odzyskanych — to trzy ośrodki misyjne w walce z herezją, to ofensywa katolicyzmu. I to jest chyba także argument dość ważki!

Pozostaje jeszcze jedno: rzekoma brutalność Polaków w wysiedlaniu Niemców i samo wysiedlanie.

Na ten temat najgłośniej wołał ks. Arcybiskup Frings. Odpowiedział mu na to twardo, po męsku, J. Eks. Biskup Gawlina. Byłem świadkiem, jak dziennikarzom włoskim pokazywano pociąg, którym jechać będą Niemcy. Kręcili głowami. Propaganda niemiecka mówiła im coś zgoła innego.

Dobrze się więc stało, że na księgarskim rynku włoskim — na rynku dodajmy, który w przeciwieństwie do francuskiego — żywo i serdecznie interesuje się książką polską — pojawia się broszura ks. Dąbrowskiego. Jest ona mała, napisana językiem prostym, nie zawiera materiałów rewelacyjnych. Jest szczerą wypowiedzią człowieka, który patrzy i widzi. Zainteresowanie nią jest wielkie. Na drugi już dzień po jej wyjściu widziałem ją w rękach dostojników Watykanu, w rękach dziennikarzy katolickich. Swoje zadanie niewątpliwie spełni.

Jan Dobraczyński

**) Karol Stojanowski „O reslawizację wschodnich Niemiec", wyd. Komitetu Słowiańskiego, Wrocław — 19

Zygmunt Przetakiewicz

Poglądy emigracji

Z naszego stanowiska interesuje nas zalecana przez koła polityczne emigracji postawa, jaką winien, ich zdaniem, przyjąć kraj w stosunku do dzisiejszej polskiej rzeczywistości. „Instrukcja" emigracji da się sprowadzić do dwóch zasadniczych punktów:

1) W kraju winien być spokój. Konspiracja i walka zbrojna przeciwko dzisiejszemu regimowi ze względu na światową sytuację polityczną, jak i ze względu na konieczność uniknięcia biologicznego wyniszczenia naszego narodu, jest szkodliwa.

2) Wszelkie próby działalności politycznej w kraju są niesłuszne i bezcelowe, gdyż każde posunięcie w dziedzinie politycznej, społecznej czy gospodarczej naszego rządu zmierza do sowietyzacji Polski i skierowane jest przeciwko społeczeństwu.

Abstrachując od meritum sprawy, tego typu koncepcja jest zaprzeczeniem wszelkiej logiki. Trudno wyobrazić sobie społeczeństwo, zwłaszcza polskie, które ze względu na aspekt biologiczny ma porzucić metody walki konspiracyjnej, ma rozwijać się gospodarczo i kulturowo, a jednocześnie każe mu się zachować bierność w stosunku do przejawów życia publicznego włącznie do zalecanej pełnej negacji dzisiejszej rzeczywistości w kraju, t. zn. aż do nieuznawania naszej powojennej państwowości. Tylko z tamtej strony „żelaznej kurtyny" mogą w umysłach przebywających daleko od kraju Polaków lęgnąć się tak „realne" koncepcje polityczne.

Ten pogląd emigracji ilustruje przejrzyście nastawienie prasy emigracyjnej do zagadnień podziemia i amnestii. Wystarczy, że powołam się na wychodzące w Szwajcarii pismo „Pod Prąd", które pisze: „...Ruch podziemny jest w stanie pełnego rozkładu. Główną przyczyną tego faktu jest rosnąca świadomość społeczeństwa, że droga ta nie prowadzi do celu w obecnej sytuacji, że walka zbrojna jest bezcelowa i powoduje tylko bezcelowe ofiary... Obecnie wielu ludzi wychodzi z lasów, zdając się desperacko na amnestię..." oraz „...amnestia ta jest pułapką, kto z niej skorzysta, znajdzie się na wolności tymczasowo...".

Ciekaw jestem, co autor tych notatek zrobił by, będąc na miejscu konspiratorów, a mając przed sobą naszkicowane w ten sposób wytyczne?

Emigracja nie uświadamia sobie, czy nie chce uświadomić, że dzisiaj wpływ na losy naszego narodu, po za toczącą się rozgrywką wielkich mocarstw, znajduje się w naszym ręku, tu w kraju, a nie w Londynie, Paryżu, Brukseli czy Friburgu. Od odbudowy zniszczonego kraju, utwierdzenia się polskości nad Odrą i Nysą, zachowania pionu moralnego naszego społeczeństwa oraz jego obecnej postawy wobec Rosji zależą losy naszych przyszłych pokoleń. To nie są frazesy w epoce, w której doszczętne zlikwidowanie narodu wymaga zaledwie kilku lat, jak wykazał okres ostatniej wojny z Niemcami.

W tymże piśmie ukazał się artykuł p. t. „Katolicy Społeczni w opozycji do zasad katolickich", który w skrótach podaję poniżej:

„Jedyną dozwoloną formą działalności publicznej jest prawo do wydawania paru tygodników katolickich... jak „Tygodnik Powszechny", „słabszy nieco „Tygodnik Warszawski", „lub „Dziś i Jutro".

„Ten ostatni, a raczej grupujący się przy „Dziś i Jutrze" działacze stanowią — i chcą stanowić — odrębną pozycję. Podczas gdy „Tygodnik Powszechny" poprzestaje na publicystycznej obronie zasad katolickich, to grupa „Dziś i Jutro", wywodząca się z dawnego „ONR- Falanga" przystąpiła tuż przed wyborami do czynnego życia politycznego, ma 3 posłów w sejmie, zaczęła właśnie wydawać pismo codzienne „Słowo Powszechne" i projektuje utworzenie własnej partii politycznej (3 posłowie figurowali na „dzikich" listach)...".

„Dziś i Jutro" firmuje się z upodobaniem mianem opozycji, ale przedziwny to tygodnik opozycyjny, który pisze np. o ułaskawieniu Rzepeckiego: „Ten gest szlachetny Prezydenta wywołał głębokie uczucie ulgi u wszystkich ludzi...".

„Ciekawe jest co innego, w jaki sposób katolik może uzasadnić sobie i innym... możliwość współpracy z komunistami...".

„Na płaszczyźnie państwowej „Dziś i Jutro" stoi „na stanowisku współpracy z rządem (prawie BBWR) wszędzie tam, gdzie wymaga tego polska racja stanu...".

Chwytów demagogicznych, których pełno w zacytowanym artykule, nie przytoczyłem, gdyż polemizować z nimi nie warto. Poza tym artykuł zawiera szereg sprzeczności. Stawia się zarzut środowisku „Dziś i Jutro", w jaki sposób katolik może uzasadnić sobie i innym... możliwość współpracy z komunistami...", jednocześnie pisząc o próbach utworzenia stronnictwa w Polsce z ramienia „najwyższych

W świecie...

PO-MOSKIEWSKIE NADZIEJE

„NIE jestem nastrojony pesymistycznie, nie odczuwam także przesadnego optymizmu" — powiedział Bevin po przyjeździe do Londynu z konferencji w Moskwie.

„Nie należy oczekiwać na obecnej sesji poważnych sukcesów. Osiągnięcie sukcesu jest jednak możliwe we wszystkich zasadniczych sprawach... Należy się tylko uzbroić w cierpliwość i nie należy być pesymistą". — Taką opinię wyraził jeszcze przed zakończeniem konferencji Stalin w swej rozmowie z Marshallem.

„Mimo różnicy zdań i trudności poczyniono większe postępy w kierunku ostatecznego załatwienia sprawy niemieckiej, niż się przypuszcza. Po raz pierwszy wyszły na jaw ostre różnice zdań, wobec czego w toku przyszłych rokowań od początku wiadomo będzie, co należy załatwiać. Należy zrozumieć punkt widzenia tych, z którymi nie osiągnięto porozumienia, nie zawsze jednak można się zgodzić na kompromis po to, aby doprowadzić do porozumienia". — Tymi słowy scharakteryzował Marshall wyniki konferencji w swej mowie radiowej do narodu amerykańskiego.

Mimo, iż konferencja w Moskwie zakończyła się bez osiągnięcia konkretnych rezultatów w sprawach zasadniczych — uspakajający i pojednawczy ton, jaki panuje w wypowiedziach mężów stanu trzech mocarstw świadczy, iż wolno żywić nadzieję, że sprawa niemiecka nie stanie się w przyszłości okazją do podziału świata na dwa bloki i rozpętania nowej zawieruchy. Bevin nie zawahał się nawet złożyć oświadczenia, iż „jedność czterech mocarstw została wzmocniona na konferencji w Moskwie". Zdanie to może zbyt optymistyczne, nie mniej wydaje się, iż jedność ta nie została zbyt mocno naruszona.

Następne spotkanie ministrów w sprawie Niemiec odbędzie się w listopadzie.

CZY ONZ POMOŻE...?

PODCZAS gdy w Palestynie wre wojna domowa Żydów z Brytyjczykami — w Nowym Jorku rozpoczęła się nadzwyczajna sesja ONZ w sprawie dalszych losów Palestyny. Zgromadzenie ONZ musi rozstrzygnąć trzy sprawy: a) wniosek Wielkiej Brytanii o wyznaczenie międzynarodowej komisji dla zbadania sprawy Palestyny; b) wniosek arabski, żądający niepodległości i niezawisłości Palestyny oraz 3) żądanie żydowskich kół sjonistycznych, domagających się dopuszczenia do udziału w dyskusji. Rozpoczęciu obrad towarzyszy duże naprężenie. Wydaje się, że wielkie mocarstwa zachodnie grać będą na zwłokę i poprą W. Brytanię w żądaniu komisji badawczej. ZSRR domaga się uwzględnienia żądania arabskiego, by poddano pod dyskusję sprawę zniesienia mandatu brytyjskiego i proklamowania niepodległości Palestyny. Jednocześnie Benesz oświadczył, iż jego zdaniem, podzielanym przez jego naród i rząd, winno powstać w Palestynie niepodległe państwo żydowskie.

Sprawa Palestyny jest sprawą ważką i pilną, ale nie sądzimy, by w dzisiejszym stanie spraw politycznych na świecie, gdy ONZ nie dysponuje jeszcze środkami do wyegzekwowania swych decyzji, a więc nie dysponuje dostatecznym autorytetem — poważyła się ona na radykalne rozwiązanie tego problemu. Każde zresztą radykalne rozwiązanie — wobec wrogości Arabów i Żydów, stanie się początkiem wojny domowej, której nikt nie podejmie się uśmierzyć. Sądzimy, iż rozstrzygnięcie tego trudnego problemu będzie odwlekane aż do chwili, gdy inne problemy polityczne zostaną szczęśliwie załatwione i ONZ rozpocznie normalne i sprawne funkcjonowanie.

Twoją ofiarą w dniu 11 maja stwierdź, że czujesz się żywym członkiem Kościoła

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI

To SZKOŁA ŻYWEGO KATOLICYZMU

czynników kościelnych" (list Episkopatu). Czyżby zdaniem redakcji „Pod Prąd" biskupi nasi popadli w herezję? Niezależnie musimy kolegom ze Szwajcarii wyjaśnić, że rząd nie stawiał warunku przystąpienia katolików do bloku, a stronnictwo nie powstało w tym czasie ze względu na niemożność dojścia do porozumienia ze sobą pewnych grup katolickich w kraju, co ze smutkiem należy stwierdzić.

Dlaczego autora artykułu razi słowo „gest Prezydenta", odnośnie ułaskawienia Rzepeckiego, przecież przede wszystkim emigracja podkreśla stale, że rząd warszawski z nikim w Polsce się nie liczy i liczyć nie potrzebuje. Fakt wyjścia Rzepeckiego z więzienia sądzę, że i na emigracji „wywołał głębokie uczucie ulgi".

Czy „współpraca z rządem, wszędzie tam, gdzie wymaga tego polska racja stanu", jest „prawie BBWR"? Radziłbym redaktorowi „Pod Prąd" zastanowić się głęboko nad zdaniem zamieszczonym w tym samym numerze ich pisma.

„...Walka o Polskę trwa, jednym z nakazów skuteczności tej walki jest odporność wobec prób zamętu i jasna ocena rzeczywistości, prowadząca do koniecznych wniosków".

„Defilada", tygodnik żołnierzy I-ej Dywizji Pancernej, podaje ciekawe spostrzeżenie o propagandzie niemieckiej, starającej się przygotować grunt dla obrońców interesów niemieckich na konferencję moskiewską.

„Znów „Płonąca Granica"?

Między obiema wojnami Niemcy prowadzili nieustającą propagandę za rewizją ich granic z Polską, ustalonych Traktatem Wersalskim.

Wciąż jątrząca się granica, nazwana przez nich „Die brennende Grenze" znalazła nawet swego epika, który w tendencyjnym powieścidle starał się podsycać nienawiść do Polski i do Polaków, którzy gnębili biednych prześladowanych Niemców.

Oto w prasie niemieckiej w ostatnim tygodniu zjawiła się kreskówka, która wykazuje nam, jak na drogach zmierzających do Niemiec stoją w szeregach przed zamkniętymi jeszcze barierami jeńcy niemieccy. Cyfry wyjaśniają, ilu ich jeszcze jest i jakie w różnych krajach dano obietnice ich zwalniania. Kraj czeka na nich, a ich kraj to ciemna plama mapki Niemiec w obecnych granicach, a tuż obok niej puste ramki Prus Wschodnich i terenów przyłączonych do Polski. Rzuca się w oczy ciemny masyw przeludnionej ojczyzny jeńców i wolnych pustych obszarów, które czekają na czekających.

Z zastanawiającą bowiem gorliwością przed miesiącem podały gazety niemieckie oficjalną cyrfę strat wojennych obywateli polskich, wynoszącą około 6 i pół miliona osób. A przecież z niewoli może powrócić prawie 5 milionów Niemców. Wnioski i nadzieje są oczywiste".

Ciekawą notatkę, świadczącą o wzrastającej wciąż niemieckiej bezczelności, zamieszcza „Dziennik Żołnierza":

„Ankieta zorganizowana przez berlińskiego korespondenta „News Chronicle" (10.3) wśród 15 wybitniejszych Niemców, przyniosła m. in. jednomyślną negację granicy Odra — Nissa. Jedna z odpowiedzi domaga się, by część odszkodowań zapłacili również sojusznicy, jako współodpowiedzialni za hitleryzm. (Teza ta występuje dość często). M. in. w jednym z tygodników zamieszczono wykaz dyplomatycznych wizyt politycznych i kurtuazyjnych, składanych Hitlerowi przez różnych zachodnich mężów stanu. Wizyty te — zdaniem autora — były ciosem dla niemieckiego ruchu oporu".

Nie próżnują na emigracji starzy sanatorzy. Z zamieszczonych poniżej „oświadczeń", wydrukowanych w jerozolimskim tygodniku „Na Straży", wynika, że sanacja tym razem na emigracji usiłuje wznowić próby pozyskania Polaków po przez propagandę tez pseudo-nacjonalistycznego programu b. O.Z.N.-u.

OŚWIADCZENIA

Do Pana Redaktora
miesięcznika „Na straży".

Od moich kolegów i znajomych w Wielkiej Brytanii dowiaduję się, że do odbiorców mies. „Na straży" rozesłano niedawno druk zawierający program b. Obozu Zjednoczenia Narodowego z komentarzami.

Oświadczam, że ani o redakcji, ani o treści, jak również o rozesłaniu tego druku nic nie wiedziałem i nie mam z nim nic wspólnego.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku
23.I.1947.

W. T. Drymmer

Wobec pogłosek, łączących moje nazwisko z broszurą, zawierającą program Obozu Zjednoczenia Narodowego, stwierdzam, że z wydawnictwem powyższym nie mam nic wspólnego.

Janusz Jędrzejewicz

Jedno nas cieszy, że w każdej konstelacji politycznej powrotu tych ludzi do władzy Polska nie potrzebuje się obawiać.

Z. P.

Jan Olechowski

CUDZOZIEMCY

Zły wiatr nas nosi po świecie, uparcie, nieprzytomnie.
Z ostrych szczytów schodzimy w leniwe upały dolin
I tylko wlecze się z nami bagaż dalekich wspomnień
I gorzka troska codzienna zakuta w obręcz niewoli.

Horyzonty odchodzą coraz to dalej i dalej...
A my jedziemy znużeni, ludziom spotkanym obcy:
I coraz wyżej się wznoszą groźne, wojenne fale,
I coraz dalej nas zanosi potok wydarzeń rwący.

Nie rozumiemy sensu śpiewnej modlitwy arabskiej,
Którą muezzin wznosi w dali za swą karawanę.
Wargi nam dziś przysypało suchym, gorącym piaskiem
I czas stopiony słońcem, w górze nad nami przystanął.

Mijamy kraje senne, legendy osnute czarem,
Gruz wzburzonej historii zastygły w niemych ruinach
I już nie chcemy czytać kamiennych napisów starych,
By jeszcze jedną więcej bezsilną mądrość przeklinać!

Dokąd nas w końcu zawiodą złociste widnokręgi!
I kiedyś noc okryje zasłoną, zmęczone oczy,
By nigdy więcej nie wracać w wspomnienia lat ubiegłych,
Nigdy więcej tęsknotą, jak krwią serdeczną nie broczyć.

Lech Niżyński

SĄSIEDZI

NA MARGINESIE UKŁADU POLSKO-CZESKIEGO

Sprawa Śląska Zaalziańskiego i Cieszyna była sprawą przykrą. Była sporem rozdrażniającym każdego myślącego kategoriami politycznymi tak, jak przykrą jest zawsze rzeczą widzieć rozdymanie sporu o miedzę graniczną do rozmiarów problemu racji stanu. Przy dzisiejszym rozwoju techniki oddziaływania na opinię mas istnieje cały szereg środków nader skutecznego podniecania ducha bojowego obywateli, wytwarzania atmosfery nieugiętości i zapału. Oczywiście słuszne jest, o ile aparat propagandowy nadaje drobnym sprawom ambicjonalnym zabarwienie walki narodowej o byt — tam, gdzie energia narodowa usypia, gdzie brak skłonności w narodzie do uniesień i gdzie elektryzowanie opinii jest wychowawczo biorąc wskazane. Tam natomiast, gdzie nie ma argumentów dydaktycznych, przemawiających za podniecaniem opinii publicznej, gdzie raczej zagraża niebezpieczeństwo zbyt łatwej pobudliwości, sprawą niesłychanie istotną jest kierowanie tej pobudliwości jedynie w stronę zagadnień rzeczywiście sięgających do korzeni racji stanu. Źle jest, o ile pomaga się uczuciowości społeczeństwa rozładowywać się w kierunkach nieistotnych, a już zupełnie źle jest, o ile nastrój bojowy, żądza odwetu, znajdują sobie obiekty najmniej się do tego kwalifikujące, zabijając instynktowne dążenia samozachowawcze. Sprawa Śląska Zaolziańskiego była typowym przykładem, jak łatwo przez podsycanie nastrojów wytworzyć przekonanie w społeczeństwie o istnieniu wroga numer 2 i rozładowywać w tym kierunku energię, która winna być w całości skierowana przeciw wrogowi numer 1.

Ulegliśmy zgubnej fikcji: przekonaniu o wrogości polsko-czeskiej. Wbrew instynktowi, mówiącemu o froncie słowiańskim przeciwko Niemcom, podniecaliśmy chorobliwie pretensje graniczne, czyniąc z zaściankowej ambicji — dyktat polityczny.

Jesteśmy narodem rozgoryczonym, stąd mamy do wszystkich pretensję i w wyniku małego wyrobienia politycznego skłonni jesteśmy osądzać i kształtować stosunki z innymi społeczeństwami nie w oparciu o możliwe, choćby oczywiście narzucające się pozytywy, a raczej o wyolbrzymione negatywy.

W perspektywie umowy o przyjaźni i wzajemnej pomocy polsko-czeskiej z 10 marca 1947 r. można sądzić, że wreszcie sprawy małe przestaną nam leżeć na drodze do budowania wspólnej siły. Pakt przyjaźni, podpisany w Warszawie, stał się już podstawą dla całej serii rozmów i umów, dających konkretny wyraz atmosferze życzliwości i współpracy. Sejm Rzeczypospolitej ratyfikował umowę o przyjaźni, a 17 kwietnia rozpoczęły się w Pradze rozmowy, zmierzające do podpisania umów: handlowej, nawigacyjnej, płatniczej i o wymianie kulturalnej. W ten sposób dwa rządy zbliżają do siebie dwa państwa. Tam jednak, gdzie chodzi nie o zbliżenie koniunkturalne, a o historycznie konieczne związanie ze sobą losów dwóch narodów, nie wystarcza pozostawienie tej pracy rządom. Wysiłek musi wziąć na siebie w znacznym stopniu społeczeństwo. Tam, gdzie partnerom politycznym chodzi tylko o ochronę i rozwój wzajemnych aktualnych interesów, całkowicie wystarczającym wyrazem zbliżenia są zręcznie zawarte układy, korzystne umowy. Trzeźwa życzliwość polityków i kół zainteresowanych całkowicie spełnia zadanie. Tam zaś, gdzie zrastanie się losów dwóch narodów staje się sprawą bytu lub niebytu — nie wystarczają traktaty ,ani klimat stwarzany przez czynniki oficjalne. Tam musi się zjawić zainteresowanie obustronne społeczeństw. Chęć poznania. Rzetelna próba zrozumienia.

Musimy zacząć mówić i czytać o Czechach. A musimy tym bardziej, że ciekawe rzeczy dzieją się nad Wełtawą. Bardzo ciekawe. Czesi dają nam kapitalną lekcję inteligencji politycznej i kapitalny pokaz pracy. Warto naśladować

Koniec wojny postawił społeczeństwo czechosłowackie przed podobną gmatwaniną problemów, jakie stanęły przed innymi narodami. Były to podstawowe zagadnienia orientacji politycznej, przebudowy społecznej, zmian terytorialnych i zupełnie nowych na tym tle — rozwiązań gospodarczych.

Szereg momentów złożył się na to, że problemy te wystąpiły w Czechach w sposób stosunkowo nie tak drastyczny i że w specyficznych warunkach czeskich, walka tocząca się około tych zagadnień szybko stała się walką o rozwiązanie, a nie o ich istnienie.

Podstawowymi faktami życia gospodarczego Czechosłowacji są ustawy o nacjonalizacji z listopada 1945 i planie dwuletnim z października 1946. One ustawiają życie gospodarcze. Charakterem i rolą różnią się od siebie zasadniczo. Ustawa o nacjonalizacji jest wyrazem nowego powojennego ujmowania rzeczywistości społeczno - gospodarczej. Jest stworzeniem faktu. Ustawa o planie dwuletnim jest wyciągnięciem wniosków

Dokończenie na str. 6 ej.

Tydzień kulturalny

SPRAWA WAŻNA

JESZCZE raz chcemy zwrócić uwagę szerokiej opinii publicznej na ważną sprawę, jaką jest budowa Domu Studenta - Katolika w Lublinie. Bowiem w dniu 11 maja b. r. — przypominamy! — w Warszawie i w całym kraju odbędzie się zbiórka publiczna na rzecz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) pod hasłem właśnie budowy Domu Studenta - Katolika.

Uniwersytet Lubelski jest jedyną wyższą uczelnią o prawach państwowych, która utrzymuje się z ofiarności społeczeństwa katolickiego. To też doroczny dzień zbiórki musi przynieść tyle, by uczelnia mogła przez cały rok istnieć i pracować. Dzięki pomocy społecznej można było usunąć w ciągu dwóch lat w dużej mierze zniszczenia wojenne i doprowadzić gmach uniwersytetu do takiego stanu, że dziś może się w nim uczyć ponad dwa tysiące studentów. Studenci jednakże nie mają gdzie mieszkać. Najlepiej zrozumieją to mieszkańcy Warszawy i innych miast Polski, którzy stracili dach nad głową. To też hasło, pod jakim odbywa się tegoroczna zbiórka na KUL, zachęci bezwątpienia społeczeństwo do większej niż zwykle ofiarności i tegoroczny „Dzień KUL'u" pozwoli wybudować w Lublinie Dom Akademicki dla studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, samej zaś uczelni nadal się rozwijać.

Niech w dniu 11 maja nikt nie będzie bez znaczka KUL'u. Niech wszyscy, którzy szczerze pragną dobra naszej Ojczyzny, jej rozkwitu i prawdziwej wielkości, złożą w tym dniu do puszek kwestarzy hojny dar i przyłączą się w ten sposób do wspólnego wysiłku na polu szerzenia oświaty i kultury katolickiej wśród całego społeczeństwa.

FASCIMILE DZIEŁA KOPERNIKA

WŁOSKA firma wydawnicza Chiantore succ. di Loescher w Turynie wydała w 1943 r. traktat kopernikowski „De revolutionibus orbium coelestium libri VI". Jest to dokładne fascimile pierwszego wydania norymberskiego z r. 1543, formatu in folio (40 x 50), stron 196, wagi 2200 gramów. Książka ta została wydana w 300 egzemplarzach, zaś cena jej wynosi 12 dolarów.

O SIENKIEWICZU WE WŁOSZECH

JEDEN z bardziej znanych miesięczników włoskich „Minerva" zamieścił dłuższe studium pióra M. Bersano-Begey, poświęcone twórczości Henryka Sienkiewicza. Autorka podkreśla niezwykłą popularność Sienkiewicza na całym świecie, a szczególnie we Włoszech, gdzie „Quo vadis" należy do najpopularniejszych książek.

CZY NARODZINY NOWEJ LITERATURY

BARDZO ciekawą pozycję w dziedzinie krytyki literackiej stanowi artykuł Tadeusza Borowskiego, zamieszczony w numerze drugim nieźle redagowanego „Przeglądu Akademickiego" (jest to miesięcznk wydawany przez Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych, a redagowany przez zespół studentów Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej). Artykuł ten, mimo pewnych tendencyjnych naświetleń i sugestii nie zawsze słusznych, jest pierwszą próbą oceny literatury powojennej i to próbą naogół udaną. W pierwszej części Borowski rejestruje postulaty stawiane nowej literaturze, dostrzegając dwa wyraźnie rysujące się stanowiska: obozu lewicy i katolickie. Zwarcie tych obozów: marksistowskiego i katolickiego, już nastąpiło— zdaniem autora — na polu walki o realizm nie tylko w literaturze, lecz i w polityce (casus Jasienica). Borowski przeciwstawia „katolickim hasłom pozytywistycznego minimalizmu" myśl lewicową, którą precyzuje w słowach Włodzimierza Sokorskiego („Pokolenie" Nr 1,) jako „twórczy rewolucyjny romantyzm proletariatu, oparty o filozofię dialektycznego materializmu".

Dość trafnie ocenia Borowski literaturę powojenną, pisząc zaś o liniach podziału — „na prawo", czy też „na lewo" — do-

Stare Miasto! Cześć Tobie. Ty najdziksze hordy,
Najkrwawsze łzy pamiętasz i najkrwawsze mordy.
Trzykroć bił wściekły orkan o twych domów ściany,
Każdy mur Twój, głaz każdy ofiar krwią obryzgany
Stare Miasto!
. . . . . .
Zbryzgane i przesiąkłe deszczem rosy krwawej,
Warszawskie Stare Miasto — to serce Warszawy!
O warto się wam wsłuchać w tego serca bicie!

Or-Ot.

Nieomal miesiąc walcząca stolica, a zwłaszcza Stare Miasto, stoi w ogniu wyniszczającej najkrwawszej walki, tragicznie osamotniona, zdana na własne siły, zasilana minimalną ilością broni przez swoich Aliantów. Ale i ta pomoc ustaje.

W nocy 24 na 25 sierpnia wylatuje z Italii z zaopatrzeniem dla stolicy pięć maszyn. Dwie nie docierają do bazy, a trzy nie dolatują wogóle do Warszawy.

Tego dnia oficer radiowy Komendy Głównej melduje, że trzy powstańcze radiostacje uległy zupełnemu zniszczeniu pod gruzami, nie ma możności naprawienia ich. Pozostała ostatnia stacja, przeciążona i pracująca z przerwami, lecz w każdej chwili może podzielić los tamtych. Za wszelką cenę trzeba ją chronić.

Wywiązałaby się katastrofalna sytuacja. Wtedy wszelki kontakt ze światem i krajem byłby zerwany. Dowódca Armii Krajowej nie mógłby spełniać swoich obowiązków. I wtedy powstaje myśl przeniesienia Kwatery Głównej do Śródmieścia, gdzie utrzymanie łączności radiowej nie napotyka na tyle trudności i niebezpieczeństw.

Trzymają się jeszcze barykady, ale z godziny na godzinę pogarsza się sytuacja staromiejskiej dzielnicy.

Niemcy dokańczają dzieła zniszczenia, niechybnie nadchodzi dzień zagłady, ostatnia chwila.

Niema gdzie już się schronić. Na raz zbombardowane schrony i piwnice, znów padają pociski i bomby, miażdżąc wszystko.

Coraz więcej zasypanych. Nie wystarcza akcja ratownicza. Wygrzebują się ludzie spod płonących gruzów, oślepli od dymu, czarni od sadzy, siwi od kurzu. W szarych twarzach, pooranych krwawymi brózdami, żarzą się jak węgle szeroko otwarte oczy.

Biegną jak szaleni w inne miejsca. Szukają schronienia pod starymi sklepieniami kościołów, lecz i tam nie jest pewnie i bezpiecznie.

W kościele na Freta, w posadzce, przed wielkim ołtarzem otwarte jest wejście do podziemi, leży w nich człowiek obok człowieka. W nawach stokroć wzmożone echa wybuchów i wystrzałów nie pozwalają dłużej przebywać; pobyt staje się nie do zniesienia.

Przez ulicę biegnie młoda kobieta z opalonymi włosami i jeszcze tlącą się sukienką, w rękach trzyma kurczowo napół spalone ciało swojego dziecka. Wygrzebała je rękami z palących się gruzów... za nią drepsze z płaczem dwoje maleństw.

Wypadła na chwilę, żeby zdobyć żywność dla dzieci, gdy powróciła, zastała bezkształtne rumowisko.

Odchodzi od zmysłów, kogo spotka błaga o ratunek i ukazuje mu skrwawione ciałko swojego maleństwa.

Niema żywności. Za szklankę wody płacą 500 złotych. Po piwnicach grasuje, zabiera ofiary jakaś epidemia, piwniczna gorączka i czerwonka.

Ludzie poczynają tracić cechy człowieczeństwa, stają się twardzi na cudze cierpienia i cudze niedole.

Rozpoczyna się dzika, bezpardonowa walka o życie, pryskają wszystkie moralne więzy. Jeden z uczestników opowiada.

— Widziałem mężów, którzy zjadali kawałek chleba przed żoną w tajemnicy. Patrzyłem na ludzi stłoczonych w czasie nalotu i szepczących żarliwie modlitwy, ale wypychających słabszych, aby utrzymać miejsce bliżej wyjścia.

Na Freta granatnik powalił starszą kobietę, niosącą wodę. Przechodnie nie śpieszą jej na ratunek, a przywierają ustami do kałuży, piją chciwie wodę zmieszaną z krwią.

Stanisław Podlewski

Przemarsz

Ostatnie chwile

W wielu schronach i piwnicach coraz zrywają się kłótnie, złorzeczenia, głosy, aby przerwać tę beznadziejną walkę i wyjść z białymi płachtami.

Zamilkły szepty modlitw, nie rozbrzmiewa błagalny śpiew „Kto się w opiekę odda Panu swemu", czy „Święty Boże, Święty Mocny".

Nie zdołają wzruszyć krzyki i wzywania ratunku, błaganie pomocy. Pod groźbą pistoletów muszą powstańcy wyciągać z mrocznych piwnic mężczyzn, aby szli odkopywać zasypanych i gasić pożary.

KRÓLOWA KANAŁÓW

Wobec grozy położenia i prawie beznadziejnej sytuacji Komenda Główna i naczelne władze powstańcze decydują przejść kanałami do Śródmieścia. Decyzja ta jest trzymana w najściślejszej tajemnicy. Wyznaczono trasę, przeprowadzono szczegółowe rozpoznanie. Wybrano najlepszych i najpewniejszych przewodników. Podchorąży Maks przechodzi całą trasę i składa meldunki. Ustalony zostaje dzień 26 sierpnia, lecz nadchodzą niespodziewanie wiadomości, że poziom ścieków w kanałach podniósł się i że przejście jest niemożliwe.

Grupy około 40 osób wchodzą do kanału przy zbiegu Długiej i Miodowej. W pierwszej grupie idzie wicepremier Jankowski, poseł Pużak i generał Bor. Przy nich jest łączniczka Basia. W drugiej generał Grzegorz z oficerami z Komendy Głównej. Tę grupę prowadzi łączniczka Zytka, 18-letnia studentka pierwszego roku medycyny, „Królowa Kanałów", jak o niej pisze porucznik Maryna (Woroniecka).

Mała uparta Zyta, „kędzierzawe" półdiable", uganiała tam, gdzie zdawałoby się, nikt żywo nie przejdzie. Naprawdę dzierżyła prym. Znała wszystkie rozgałęzienia kanałów najniższych i najwęższych, wejścia w włazy, jak swoją torebkę. Wiele razy wodziła duże kolumny. Przez 10 godzin siedziała w kanale, ciągnąc kabel.

W najcięższych warunkach prowadziła odważnie, bezpiecznie, pewnie i niezawodnie, i umiała utrzymać w długiej kolumnie karność i porządek, a nawet stłumić popłoch i panikę wśród idących. Bywało piła z jednej butelki z chłopcami. Z pewnym wdziękiem używała gwary kanałowej. Kiedyś powiedziała por. Marynie:

— Ja dopiero pierwszy raz w życiu czuję się naprawdę dobrze, widzę, jestem stworzona do kanałów. Na górze to jestem mała i młoda i to na mnie nikt nie zwraca uwagi, ale na dole w podziemiach to jestem naprawdę królową.

Chodziła kanałami niestrudzenie do ostatniej chwili, prowadziła kolumny. Kilka dni później będzie prowadziła jedną z ostatnich grup powstańczych, trzymających dotąd barykady na Starówce. Gdy Niemcy wleją benzynę do kanałów, znajdzie straszliwą śmierć w płomieniach.

Całej grupie udaje się przejść bez przeszkód.

Zrazu wyjść mieli na Placu Napoleona, lecz w ostatniej chwili nadszedł fonogram radiowy, aby wyszli na Nowy Świat, około Wareckiej.

OSTATNI TRANSPORT AMUNICJI

W następnych dniach przechodzą kanałami na Żoliborz władze cywilne — około 80 osób. Kolumnę ubezpiecza od czoła dziesięciu oficerów. Kiedy mijają najniebezpieczniejsze miejsce, na wysokości Dworca Gdańskiego Niemcy rzucają przez otwarte włazy wiązki granatów.

Mimo wysokiego stanu wody, sięgającej do pasa i wartkiego prądu, udało się szczęśliwie dotrzeć do celu.

Dnia 28 sierpnia wyrusza w powrotną drogę na Starówkę część osłony i jedenastu harcerzy z podchor. Jastrzębcem (Łukjanow-Kozłowski).

Niosą ci chłopcy z Żoliborza 600 granatów zaczepnych, 3000 naboi do karabinów, 4000 naboi do peemów oraz 30 kg. materiału wybuchowego. Tyle, co może odstąpić obwód Żoliborski.

Jest to ostatni transport amunicji dla Starówki. Odtąd już znikąd jej nie otrzyma. Co będzie, gdy wystrzelony zostanie ostatni pocisk?

Na pół godziny przed wyruszeniem, z rozkazu ppułk. Żywiciela dołącza do kolumny łączniczka, licząca około 20 lat. Niesie ważne dokumenty i raporty o akcji powstańczej na Pradze, które tam trwało trzy dni. Po wielu perypetiach udało się jej w nocy przepłynąć wpław przez Wisłę. Przeszła przez łańcuch czujek i okopów niemieckich i dotarła do stanowisk powstańczych.

W czasie marszu kanałami kolumna transportowa natrafia na ciężką i niebezpieczną przeszkodę. Niemcy zaczęli budować w kanale barykadę z szyn i z worków z cementem, wzmogli obserwację i co kilka minut rzucali granaty. Udaje się jednak szczęśliwie pokonać wszystkie niebezpieczeństwa i amunicja w całości doręczona została do magazynów.

KU NOWYM DROGOM *)

Zbiór nowel Witolda Zalewskiego wydany jest w tej samej serii „Pisarze Polsk Podziemnej" przez wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, co tom nowel Romana Bratnego. Obie te książki łączy wspólny problem walki z Niemcami podczas okupacji. Pisarze jednak, pomimo że przebywają w tym samym świecie: konspirującego miasta, partyzantki w lesie, powstania i obozu, podejście do tematu mają zupełnie inne. I tu trzeba pochwalić Zalewskiego, że stawianie przez niego problemu wyraża się bardziej ciekawie niż u Bratnego. Głównym motywem „Śmiertelnych bohaterów" jest tchórzostwo, zdrada i nieunikniona śmierć, zabierająca w walce tych, tylko śmiertelnych bohaterów walczącego podziemia. Proza Zalewskiego nie jest wyrażona już jakimś sformułowanym, gotowym sposobem konstruktywnym, ale stanowi drogę poszukiwania formy.

Interesującą cechą tej prozy jest jej kompozycja, zbliżona do jakiejś techniki kinematograficznej.

Nowela „Niezwyciężeni" zaczyna się małym fragmentem na ulicy, przed czerwonym plakatem, zawiadamiającym o rozstrzelaniu zakładników i kończy się tym samym fragmentem. Pan Kowalski czyta ten sam plakat na początku, co i na końcu noweli. Ponad to znajduje on na nim nazwisko swego twórcy, autora książki o Kowalskich, Wiktora Grudy. W międzyczasie rozgrywa się akcja, będąca właściwą treścią noweli. Kowalski znajduje w biurze w kieszeni ubrania włożoną tam i zapomnianą przez syna konspiracyjną gazetkę. Ulegając roztargnieniu, chowa ją do teczki z aktami, leżącej na biurku. Teczkę tę zabiera spod nosa zasugerowanego strachem pana Kowalskiego jego szef Niemiec, Goebel. Ten fakt jest przełomowym momentem noweli. Dalej akcja toczy się w kierunku aresztowania przez Gestapo syna Kowalskiego, Janka, który poświęcając się dla ojca, kiedy gestapowiec pyta go, czy to on pracuje w Miejskim Urzędzie Budowlanym już ,samym oświadczeniem, że: — tak, skazuje się na śmierć. Kowalski jest tchórzem, bojącym się własnego cienia. Woli poświęcić syna, bo zdrowy rozsądek mu mówi, że przez sprostowanie sprawy i tak Janka nie uratuje. Janek czuje swoją potęgę w tym, że może poświęcić się za ojca i uratować tym wszystkich domowników. Autor książki o Kowalskich, Wiktor Gruda, zastanawia się, dlaczego pisze o Kowalskich. A więc dlatego, że jest ich wszędzie pełno. To wprowadzenie historii powstawania noweli w akcję samego opowiadania, przypomina poniekąd manierę „Fałszerzy" Andre Gidea. Na tle rozwijającej się treści, autor wtrąca rozmowę Wiktora Grudy z Pawłem na temat książki o Kowal-

*) **Witold Zalewski:** „Śmiertelni bohaterowie". Wydawnictwo E. Kuthana. Warszawa, str. 171

Matce i żonie poświęcam.

przez piekło
Starego Miasta

Z NAJTRUDNIEJSZEGO ODCINKA

Żelazny pierścień zagłady nieustannie zwężał się.

Padł Muranów, Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych. Niemcy zajęli ruiny Królewskiej Katedry. Wdzierają się w Rynek Starego Miasta. Napór nieprzyjaciela wzmaga się. A tu — coraz skąpiej amunicji i granatów. Obrońcy ledwie trzymają się na nogach. W zastraszający sposób przerzedzają się szeregi, mnożą mogiły. Niezadługo nie starczy wolnego miejsca na cmentarzach. Dla rannych nie ma już pomieszczeń w piwnicach szpitalnych, ani opatrunków, leków i bandarzy.

Więc znów zebrali się na Mławskiej 5, 28 sierpnia po południu dowódcy północnego odcinka — ppułkownicy: Radosław i Leśnik, dowódcy zgrupowań, obydwaj ranni, są też ich adiutanci. Jest mjr. Witold, kpt. Jan, por. Motyl. Omawiają wytworzoną sytuację. Szukają sposobów zaryglowania tych luk. Są głosy, aby odbić gmach Wytwórni.

W pewnej chwili z za okien wdziera się warkot motorów lotniczych. Samoloty nieomal ocierają się o szczyty i szkielety kamienic. Lecą rozwiniętym szykiem, trójkami, słońce lśni złowrogo na ich kadłubach. Naraz zaczynają odrywać się od nich bomby.

Obserwatorzy wychylają się z maszyn, radośnie machają rękami i patrzą z sadystyczną rozkoszą w buchające w górę wachlarze ziemi, kamienia, drzewa i żelaza. Zawaliły się wszystkie piętra. Ciężar zwalisk runął na sklepienia piwniczne i śmierć w gruzach biała i blada od nadmiaru rozpętanego i szalejącego „w dance macabre" pyłu i prochu zgotowała żołnierzom i dowódcom, tym z bronią i tym bezbronnym — cichy grób.

Uszedł śmierci ppułkownik Leśnik. Ocalał prawie cudem ppułkownik Radosław. Runęły dwa piętra — i na skrawku podłogi, sam wskutek ran odniesionych nie mogący się jeszcze utrzymać na nogach — zjechał po gruzach, wraz z nimi — nietknięty na podwórze. Ale zginęły wszystkie „Mieczyki", Hala Olszewska (H. Smoleńska), zginął ukochany „Tatar". I spłonął w palącym się domu. Zginęli ranni, których nie zdołano wynieść i tyle, tyle ludności.

Pożaru nie zdołano ugasić.

— Czy ojciec ma światło? — zagadnął Staszek ojca Pawła. W bramie, w tej piwnicy, w której ojciec miał kazanie — zdaje się, że jeszcze ktoś jęczy.

Ksiądz poszukał po kieszeniach panterki. Po chwili wyciągnął resztki świecz ki ołtarzowej.

— To miało być na niedzielę, rzekł ojciec, ale jakoś obejdzie się.

Drzwi od piwnicy były zawalone zwałami gruzu. Jedyne wejście było możliwe przez piwniczne okna. Kraty już dawno ze względów bezpieczeństwa były wyważone. Wybili resztki szkła i wcisnęli się. Unosił się gęsty nieprzenikniony pył. Wciskał się w oczy, uszy i w gardła. Nasłuchiwali przez długą chwilę. Śmiertelna, przejmująca cisza.

— Stamtąd coś słychać, rzekł ojciec, wskazując w głąb i szedł, trzymając wysoko płonący ogarek. Tu wystawało ramię spod gruzów, tam głowa, pukle włosów — jeden cmentarz. Cmnetarz tych, których Powstanie postawiło mimo ich woli na najtrudniejszym odcinku.

Z rumowisk wynieśli sześciu rannych, złożyli w bramie, a stało tam również sześciu tych, którym udało się wyjść cało. Stali strwożeni, u ich stóp złożono wyrwanych śmierci z rumowisk.

Patrzyli na kapłana. Tak — to ten, co nam na Matkę Boską mówił kazanie.

Jak on to mówił, grzebią i szukają w pamięci.

Tak, tak, — —

...Pod Twój płaszcz...

...bezpiecznie...

Patrzyli głucho, tępo i niemo, jak gdyby z wyrzutem.

Reduta z najtrudniejszego odcinka.

Chłopcy spojrzeli po sobie. I powlekli się dalej.

A ksiądz odczuł oczy, patrzące tępo w ziemię i podniósł je ku mocnym niebom.

SERCE STROMIEJSKIEJ DZIELNICY

Ulica Świętojańska — to już jedno pasmo ruin. Przez nią wdziera się nieprzyjaciel do Starego Rynku, serca staromiejskiej dzielnicy.

„W zażartym uporze — pisze korespondent SS — bronią Polacy centymetr po centymetrze każdego domu, każdego okna piwnicznego, każdej kupki gruzów.

Wgryzają się w każdą dziurę, czyniąc szańce dla swoich strzelców. Nasi grenadierzy pancerni kończą swoją ciężką robotę w tym krętowisku, za nimi nie pozostał przy życiu żaden powstaniec".

Ale nie pisze ów niemiecki skryba, że każdy metr zdobytego terenu sowicie nieprzyjaciel opłaca swoją krwią.

Wokół rynku resztki frontowych ścian z barwną polichromią, poczym już las nagich, brudnych i wypalonych szkieletów, sterczących kominów i rumowisk, po pierwsze piętro i wyżej.

Pociski artylerii, bomby, miotacze min, straszliwe wstrząsy i podmuchy, wciąż rozsypują przeżarte wilgocią i przegniłe staromiejskie mury.

Na rynku ogromne leje, wyrwane zapewne wybuchem półtonnowej bomby, wokół błyszczą niewypały pocisków, ponuro, groźnie są niebezpieczne dla życia jak miny.

Duży czarny pies, głodny i okaleczony, wyciągnął szyje i przeraźliwie wyje, jak gdzieś w wymarłym domostwie, w zapadłej wsi.

Jakaś gromada ludzi czyni rozpaczliwe wysiłki, aby wydrzeć gruzom zasypanych, pod sklepieniami, lecz wciąż usuwają się zwały kamieni.

Ledwie widać sylwetki uwijających się. Nieustannie unoszą się nad całym rynkiem gęste i brunatne dymy.

Wychodzi patrol powstańczy na Stary Rynek.

Młody jego dowódca nie jest pewny, gdzie się znajduje, choć wielokroć przechodził tędy.

Zapytuje kobieciny —

— Paniusiu, gdzie jest Stary Rynek?

— Przecież pan jest na nim — odpowiada nie bez zdziwienia.

Chłopcy rozglądają się, szukają znajomych kamieniczek, największą radością witają ją.

Najlepiej dochowały się Ginterrowska— zwana bodaj „Pod Murzynkiem", choć znacznie wyższa od innych. Obok Schlichtingowska, zewnątrz skromna, a kryjąca w swoich murach starodawne pułapy, na ozdobnych belkach, odkrytych tuż przed tą wojną, i wspaniałą i obszerną klatkę schodową.

Dostojna kamieniczka Imci Pana Baryczki, osmolona i ciemna, ze złoconymi attyką, jak w ozdobnej szacie i w klejnotach stara patrycjuszka, patrzy wypalonymi oczodołami okien, ponad las nagich szkieletów, w jasny fronton i zręby wież królewskiej katedry — to znów na kamienice przy wylocie Świętojańskiej. Wypalona jak wszystkie, ale świetnie zachowała swoją polichromię. Na zielonym tle hoża żniwiarka ze złotym snopem w ręku. Chyba to dzieło Stryjeńskiej?

Tam, na rogu Wąskiego Dunaju, te szkielety, dymiące jak kadzielnica i oświetlone od wewnątrz, jak dekoracja teatralna, to pałac książąt Mazowieckich. Stąd wyruszyła w pochód dziejowy nasza stolica.

Z Fukiera — pozostała tylko sama ściana ze średniowieczną ornamentyką, rzeźbą winogron, symbolu radości życia, jak gdyby na ironię. Tutaj, pod starymi sklepieniami, w głębokich, dwupiętrowych piwnicach, wśród ścian i kadzi, przepojonych zapachem wina schroniły się gromady ludzi. Była tu w pierwszych dniach „fabryka" butelek zapalających.

Przez ogromny wyłom wyłom z jednej kamienic wylała się burzliwa struga kamieni i drzewa. Jeden z podchorążych zaczyna grzebać rękami. Spod gruzów, resztek mebli i drzewa wygrzebuje jakieś książki.

Z największym pietyzmem prostuje powyginane kartki, skręcone grzbiety, najczulszymi słowami obdarza i gładzi oblicza stron, jakgdyby włosy swojej kochanki.

— Patrzcie, powiada „Caritas", „Uroda życia" i „Popioły", nawet ozdobne wydanie.

Przy świście pocisków zaczynają oglądać ilustracje, bodaj drzeworyty Bartłomiejczyka. Odczytują głośno fragmenty, ulegają czarownej magii słów, autora „Dumy o hetmanie".

Karty książki, ich ręce i głowy, jakgdyby spłonęły krwią od blasku, stojących w ogniu kamienic.

— I znów pozostał popiół z naszych wysiłków — zauważa jeden z chłopców.

— Nie kracz, nie jęcz, nie rozdrapuj ran, które jeszcze krwawią.

W tej ciemnej kamienicy przy Świętojańskiej mieściła się zasłużona oficyna Braci Mortkowiczów, wydawców dzieł Żeromskiego, Struga i Staffa, serii tomów „Pod znakiem poetów".

Zabierają książki, powracają na swoje kwatery. Mieszają się z szarymi, skulonymi postaciami, niosącymi wiadra z wodą lub zawiniątka od strony Wisły i coraz znikającymi w czeluściach ruin, w labiryncie wypalonych szkieletów domów.

Naraz jeden z oficerów wskazuje na grupę mieszkańców, wspinających się po gruzach.

— Te dwie kobiety, kroczące na przodzie, to córka Żeromskiego Monika, z Anną — wdową po wielkim pisarzu.

— Co się stało z Jego rękopisami i pamiątkami?

(D. c. n.)

---

skich, którą w danej chwili pisze Wiktor. Nazwisko swego twórcy czyta pan Kowalski przy końcu noweli na czerwonym plakacie egzekucyjnym. Tego rodzaju konstrukcja nie wywołuje korzystne efekty. Jest to zresztą jedna z wielu prób, jakie stosuje Zalewski w swoim tomie.

W „Maskach" autor porusza problem zdrady młodego podchorążego Tura. Podczas przygotowań partyzantów do ataku na więzienie podchorąży Tur alarmuje strzałem Niemców, bo nie chce, ażeby od uratowanego z więzienia kolegi dowiedziano się o jego tchórzostwie. Bał się, że Józef opowie, iż to on go zostawił rannego na pastwę Niemców i ucieczką ratował się przed śmiercią. Podczas akcji ginie podchorąży Tur. Wszyscy dowiadują się, że Józefa nie było w więzieniu. Pozostała tylko zdrada podchorążego Tura.

Jedną z najlepszych, a odbiegających tematem od innych, jest nowela „Noce i świt". Jest tu poruszany ten sam problem tchórzostwa, ale już zrehabilitowanego bohaterskim czynem. Tłem jest powstanie warszawskie, a treścią fragment walki z Niemcami na ulicy Królewskiej przy Ogrodzie Saskim.

Z cyklu opowiadań, zatytułowanych „Próba śmierci", wyróżnia się „Śmierć przyjaciela". Całą grozę szpitala powstańczego, jak i szpitala obozowego w „Próbie śmierci" autor oddał z dużym realizmem. Jest to jedno z najwnikliwszych studiów na ten temat w literaturze powojennej. W „Ucieczce" powtarza się już może nie problem tchórzostwa, a pragnienie życia, owo najpotężniejsze uczucie, które jest właściwe każdemu człowiekowi.

„Próba śmierci" jest dramatem powstańca chorego na płuca, a skazanego na śmierć przez lekarzy obozowych. Czytamy: „Czarna przestrzeń śmierci na moment wydała mu się nęcąca. Była antytezą tego, co nadawało gorzki sen życiu — nadziei. Była ciszą". Oto dramat może o wiele większy od szybkiej śmierci na barykadzie, bo człowieka, który umiera powolną śmiercią, zbliża się do niej, wie, że ją osiągnie, liczy nawet dni dzielące go od niej — milczącą próbą śmierci.

„Drużyna wodza" jest ostatnią pozycją książki Zalewskiego. Akcja jej toczy się w bliżej nieokreślonym miejscu i czasie. Autor nie wyraża się jasno, używa niedomówień, zamyka się w kręgu konstrukcji oraz powtarzającego się problemu zdrady i tym razem — zemsty. Przywódca straży wodza, kulawy Tobiasz, pozwala zabić zamachowcowi Chmai wodza Bareja dlatego, bo ten odciął mu nogę siekierą, a nie odsunął belki, kiedy go ratował spod zburzonego domu.

Tak, jak już napisałem, Zalewski zbudował cały swój tom na poszukiwaniu formy i nigdy nieprzemijających tematów formy, która mogłaby stać się formą jego noweli, czy powieści. Sam fakt, że wszystkie prawie nowele posiadają różną konstrukcję, świadczy o talencie młodego pisarza. To szukanie charakteryzuje ambicję zdobycia swojej własnej, nowej i nieprzeciętnej drogi.

Jerzy Grygolunas

Tydzień kulturalny

daje, że „ta linia podziału tak znamienna dla obecnych stosunków literackich, ma charakter prowizoryczny i że niewątpliwie wcześniej czy później w obrębie literatury dokona się proces zharmonizowania techniki literackiej z zawartością światopoglądu dzieła i postawą etyczną pisarza".

Wnioski i sformułowania, jakie wyciąga autor, nie zawsze są słuszne i trafne, stąd też wywodzi się konieczność szerszego omówienia tez Borowskiego, czego jednak nie sposób uczynić w ramach tak drobnej notatki. Sądzimy, że artykuł ten wywoła ciekawą dyskusję na tematy związane z zagadnieniami młodej literatury powojennej.

TETMAJER PO FRANCUSKU

NAKŁADEM „Editions Elgoff" ukazały się trzy opowiadania Kazimierza Tetmajera p. t. „Marysia la Lointaine" w przekładzie Francka Louis Schoell, przyjęte życzliwie przez krytykę francuską.

BIBLIA GUTENBERGA ZA 2200 F. SZT.

NA jednej z licytacyj w Londynie sprzedano egzemplarz Biblii, wydrukowanej przez Jana Gutenberga w r. 1455 w Moguncji na pierwszej maszynie drukarskiej, posiadającej metalowe ruchome czcionki, za sumę 2200 f. szterlingów.

MONOGRAFIE ZIEM ODZYSKANYCH

INSTYTUT Zachodni przygotowuje cykl monografii, poświęconych Ziemiom Odzyskanym. Pracuje nad tym grono specjalistów, a badania ich nie ograniczyły się jedynie do studiów bibliotecznych, lecz objęły także i badania w terenie. W tym celu zostały przez Instytut zorganizowane specjalne wycieczki, a jedna z nich przemierzyła Dolny Śląsk wzdłuż i wszerz, przy czym plonem jej było m. in. około tysiąca zdjęć o dużej wartości dokumentarnej i artystycznej.

Jako pierwszy tom z tego projektowanego, a zamierzonego na szeroką skalę cyklu, ukaże się tom o Dolnym Śląsku, przy czym opracowanie graficzne będzie stało na wysokim poziomie. Pieczę nad tym objął Kiryl Sosnowski, który przed wojną opracował i był niejako współtwórcą (jak to zresztą sam autor zaznaczył w przedmowie) świetnej i rozchwytywanej książki Józefa Kisielewskiego p. t. „Ziemia gromadzi prochy" (nie mieszać z autorem „Sprzysiężenia"!).

W okresie okupacji Sosnowski opracował dwie książki, wydane konspiracyjnie, a mianowicie „Z pierwszej linii frontu" oraz „Honor i ojczyzna". Niedawno opracował graficznie i zredagował kalendarz katolicki na rok 1946 p. t. „My chcemy Boga", który krytyka nazwała najlepiej opracowanym i zredagowanym kalendarzem po wojnie.

Oddawna czekamy na tego rodzaju wydawnictwa, jak monografie o Ziemiach Odzyskanych, które powinny dotrzeć nie tylko do rąk polskiego czytelnika, ale powinny być eksportowane za granicę.

A propos tych dwóch problemów: polskiej książki i zagranicy. Dziwi nas jedno, dlaczego są takie trudności z wysyłaniem książek polskich zagranicę? Dlaczego wymagane są specjalne zezwolenia? Czyżby książka jako towar eksportowy była „owocem zakazanym"?

ŚWIĘTO KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

należy uczcić czynem
Niech więc powstanie w każdej parafii

BIBLIOTEKA DOBREJ KSIĄŻKI

Żądajcie od proboszcza Dobrej Książki, nie marnujcie drogiego czasu na czytanie byle czego. Strzeżcie się złej książki

Informacje, instrukcje, katalogi wysyła odwrotną pocztą TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO
Warszawa 12, skrz. poczt. 40.

SĄSIEDZI

(Dokończenie ze strony 3-ciej)

z tego faktu i ma na celu stworzenie zespołu instrumentów, umożliwiających rozwiązanie istotnych zagadnień gospodarczych Czech, tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych. W powiązaniu zagadnień wewnętrznych i zewnętrznych wysunąć należy jako moment bardzo ważny i bardzo istotny wyraz inteligencji politycznej Czechów — ich zrozumienie, że nie stać ich na porządkowanie najprzód spraw wewnętrznych, a później dopiero nawiązywanie kontaktów ze światem zewnętrznym. Czesi widzą, że dla ich egzystencji narodowej faktem zupełnie decydującym jest siła ich pozycji w bloku słowiańskim, jak też ich stosunków z t. zw. zachodem. Rozumieją, że naród mały nie stać nawet na moment przerwy w aktywności gospodarczej, bo o istnieniu każdego narodu, a specjalnie małego, decyduje dziś wyłącznie to, w jakim stopniu potrafi on, będąc wciągnięty jako jeden z trybów w mechanizm światowy, sprzęgnąć się z tym mechanizmem, stać mu się niezbędnym i nie zmieniając swej wielkości, zwiększać swą wagę. Tylko ten jest klucz do niepodległości narodów małych.

Czesi chcą być gospodarczo niezbędni w Europie tak, jak niezbędni byli Niemcy. A tym się jest niezbędniejszy, im się szybciej pojawi na arenie i im bardziej uzależnia się od siebie układ stosunków wokół siebie. Czesi chcą być na rynkach od samego początku i to traktują jako wyścig i dlatego śpieszą się gorączkowo.

Politykę gospodarczą nakreślają zawsze cele zewnętrzno- i wewnętrzno-państwowe. Realizacja jednych często utrudnia lub uniemożliwia osiąganie drugich. W wypadku Czech obserwujemy wybitną predominację celów zewnętrzno - politycznych, kształtujących wyraźnie kierunki i rozmiar produkcji.

Z zagadnień czysto wewnętrznych wysunąć należy dwa problemy podstawowe: **Zagadnienie luki poniemieckiej i problem Słowacji.** Niemcy stanowili w życiu czechosłowackim czynnik ilościowo i „wagowo" bardzo znaczny, zarówno w rolnictwie, jak i w przemyśle. Wysiedlenie ich stworzyło ogromną lukę zwłaszcza oczywiście na terenach nadgranicza. W tę lukę trzeba jak najszybciej pchnąć rodzime masy ludzkie. I tu zagadnienie nie ogranicza się do momentów bezpieczeństwa, niechęci ludności do zmiany miejsca, braku fachowców, ale w całej drastyczności wyłania się problem braku rąk. Nie braku speców, nie braku chętnych, a po prostu braku ludzi. W Czechach nie ma wsi — rezerwuaru rąk roboczych. Intensyfikacja przemysłu już dawno przed wojną uregulowała zagadnienie zatrudnienia w rolnictwie. Znaczny, a niewyzyskany kapitał ludzki z Rusi Podkarpackiej odpadł do Rosji. Stoi w poważnym stopniu do dyspozycji nadwyżka ludnościowa Słowacji, z nadwyżki tej rząd korzysta, ale liczne są hamulce krępujące go w tym. Hamulce te nazwiemy krótko problemem Słowacji. Tak więc zagadnienie luki poniemieckiej rozwija się w kwestię braku rąk, w konieczność bardzo ostro przeprowadzonej reglamentacji rynku pracy i podkreśla konieczność wyraźnego wytyczenia hierarchii celów produkcyjnych: likwidacji warsztatów niewydajnych, lub mniej wydajnych, o produkcji niepotrzebnej chwilowo, lub mniej potrzebnej. W tym właśnie punkcie występuje silna kolizja celów wewnętrzno-gospodarczych z zewnętrzno - politycznymi.

Zagadnienie konieczności przenoszenia zakładów przemysłowych z nadgranicza wgłąb kraju skierowuje nas do problemu Słowacji, który jest już zagadnieniem historycznym. Słowackie dążenia separatystyczne w okresie międzywojennym, Irredenta, Tisów, Machów i Tuk zupełnie wyraźnie dowodzą, że pozycja, jaką Słowacji w ramach państwa wyznaczył Masaryk, nie odpowiada Słowakom zupełnie Słowacy nie chcą być kopciuszkiem, chcą być równoważnym partnerem. Stąd jako pierwsze żądanie wysuwają postulat uprzemysłowienia kraju, w celu zniwelowania różnicy poziomów życiowych Postulaty te znajdują bardzo wyraźne zrealizowanie w planie dwuletnim, przewidującym duże sumy na industrializację tej części kraju na drodze przenoszenia tam wielu warsztatów przemysłowych z zachodu, rozbudowy warsztatów istniejących, elektryfikacji oraz rozbudowy sieci komunikacyjnej. Czesi bardzo chętnie godzą się na te poczynania. Czynią to nie tylko pod naporem żądań, nie tylko z konieczności wyzyskania miejsca, czy ze względów bezpieczeństwa, ale i w znacznym stopniu dlatego, że uświadamiają sobie, iż jednym z istotnych motorów dążeń separatystycznych jest odrębność struktury zawodowej i stąd różnica standartu życiowego. Poczucie odrębności rodzi się jak często z poczucia braku. Zaspakajanie poczucia braku likwiduje irredentę.

Oprócz tych zagadnień problematyka wewnętrzna — to podniesienie konsumcji i usunięcie szkód wojennych; kwestie o tyle nieinteresujące, że podobne we wszystkich państwach po wojnie.

Poza wysuniętymi momentami całe życie gospodarcze Czech stoi pod wyraźnym naciskiem celów ekspansji zewnętrznej. Jak powiedziano, Czesi się śpieszą. Mocno śpieszą. Ich celem jest wskoczenie na rynki dotychczas opanowane przez Niemców, zdobycie tych rynków i usadowienie się tak, żeby się już nie dać wytrącić z siodła. Oczywiście na pierwszy ogień idzie Europa środkowa i środkowo-wschodnia z Rosją na czele. Grają tu pewną rolę względy techniczne: przy dzisiejszych ogromnych trudnościach komunikacyjnych, nie sposób małemu państwu rozpoczynać szerszą ekspansję handlową, ale głównie ważą tu jednak motywy polityczne. Czechosłowacja pozostaje w ramach wspólnoty słowiańskiej, którego istnienie po doświadczeniach ostatniej wojny jest dla niej kwestią życia lub śmierci. Państwa słowiańskie są mocno zniszczone wojną, głodne wszelkich wyrobów przemysłowych i nie zdolne do wewnętrznego zaspokojenia głodu. Czechy są nieledwie nietknięte wojną w sensie zniszczeń mechanicznych. Czeski głód przemysłowy jest nie tak wielki i Czesi są zdolni nie tylko zaspokoić potrzeby swoje, ale i cudze. Obroty handlu zagranicznego Czech wzrastają z miesiąca na miesiąc, zachowując stale saldo czynne Od stycznia 1946 do października 1946 nadwyżka z tytułu obrotów zagranicznych wyniosła 21 miliardów koron. W obrotach tych na państwa słowiańskie przypada 21 do 24 proc., z tego połowa na samą Rosję. To już jest pozycja mocna. Czesi doskonale wiedzą, że błędem niewybaczalnym byłoby przegapienie sytuacji, w której cały przemysł Ukrainy i Rosji północno - zachodniej leży w gruzach, cały system komunikacyjny na zachód od Donu jest postrzępiony. Niemcy — tradycyjny dostawca wyeliminowany z obrotów, USA — drugi generalny dostawca z czasów przedwojennych i wojennych, obecnie ze względów politycznych — odsunięte. Czeski przemysł metalowy ciężki i lekki, włókienniczy, szklany, ceramiczny, elektryczny i chemiczny szykują się do generalnej ofensywy na Rosję. Jasne, że nie ma mowy o zmonopolizowaniu dostaw pewnych artykułów, ale o możliwie wielki udział w obsłudze rynku tak ogromnie chłonnego, jak rosyjski. Podobnie obiektem ekspansji przemysłowej Czech jest Bułgaria, Jugosławia i Rumunia. Sądzić można, że rozmowy toczone obecnie w Pradze, otworzą wreszcie rynek polski i czeski dla najszerszej wzajemnej wymiany.

Dla naszego zrujnowanego wojną organizmu państwowego związanie się jak najściślejsze z prężnym organizmem gospodarczym Czech jest koniecznością bytu. Polsko-czeskie braterstwo jest warunkiem sine qua non budowania frontu anty-niemieckiego i **momentem decydującym o pozycji politycznej obu państw.** Czechom są niezbędne nasze surowce przemysłowe i rolne, nam niezbędne ich maszyny i artykuły przemysłowe. My i Czesi jesteśmy dla siebie wzajemnie naturalnymi pośrednikami obrotów zagranicznych. Wszystkie drogi Polski winny służyć czeskim potrzebom, wszystkie czeskie drogi — naszym.

Kardynalna waga problemu komunikacyjnego uwypukla się jasno na tle zamiarzeń polityki zewnętrzno - gospodarczej Czech. Państwo nie mające dostępu do morza, musi, o ile chce zostać samodzielne, zagwarantować sobie drogi śródlądowe, siatkę żył wiodących do mórz. Problem Bałtyku, Adriatyku i Dunaju jest dla Czechów rzeczywiście sprawą życia. Charakter międzynarodowego rozwiązania sprawy żeglugi na Dunaju, będącym uruchamianą już drogą dostaw do Rosji i Rumunii, statut Triestu, przez który przepływał przed wojną znaczny procent eksportu czeskiego, modus vivendi z Polską odnośnie żeglugi na Odrze, eksploatacji Szczecina, to zagadnienia najżywotniejsze. Warto zaznaczyć, że do ostatnich chwil eksport czeski, kierujący się do krajów Europy północno-zachodniej, korzystał z usług Hamburga, nie znajdując ze strony polskiej próby skierowania go do naszych portów. Czesi są z natury położenia geograficznego państwem tranzytowym. Arterie Łaba, Odra, Dunaj, kolej podkarpacka wiążą ją idealnie z całą Europą. Czesi dobrze obliczają kolosalne korzyści, płynące z puszczenia przez swój teren takich arterii towarowych i dobrze rozumieją polityczne znaczenie pełnienia funkcji ogniwa. Siłą rzeczy ogniwo jest złączone z sąsiadem z lewa i z prawa. Siłą rzeczy przedstawia dla obu korzyści i jest reczej przedmiotem targów i zaleceń, aniżeli agresji. Kompromis, jako szanowna instytucja kulturalna, święci w Czechach pełne triumfy.

Realizacja ekspansywnych planów gospodarczych Czech natrafia na jeszcze dwie przeszkody: surowce i kredyty. Przed wojną już Czechosłowacja zdana była na przywóz rud żelaza, chromu, manganu, metali kolorowych, surowców przemysłu chemicznego poza solą, surowców włókienniczych. Dziś po utracie Rusi Podkarpackiej sytuacja zmieniła się znacznie na gorsze przez całkowitą utratę soli i znacznego odsetka drewna. Jest więc Czechosłowacja państwem zdanym na import podstawowy. Wyzyskanie Rosji i państw słowiańskich jako importerów, nęci dogodnościami komunikacyjnymi. Ale państwom tym też brak wielu artykułów. O ile więc pełna wymiana surowcowa i towarowa w ramach państw słowiańskich jest elementarnym celem polityki gospodarczej, o tyle gwarancję rozwoju daje dopiero równoczesne nawiązanie pełnego kontaktu z zachodem. Tym bardziej, że zachód ma kapitały, których Czechom na gwałt potrzeba, o ile plan dwuletni i wszelkie ambitne zamierzenia mają się stać realne. Kołaczą tedy Czesi o pieniądze w Waszyngtonie, Londynie, misja za misją jedzie na zachód i za ocean dla rozbudowania wymiany i zaufania. Czesi używają całego sprytu kupieckiego, żeby dźwięk ich solidnego imienia tak, jak przed wojną otwierał mieszki potentatów big-businessu. Ale nie całkiem im to udaje się. Perfidni jankesi uznają, chwalą, ale wyciągniętą sakiewkę w ostatniej chwili, jak dotąd, cofają. Nie pomagają nawet najlepsze metody auto-reklamy. Jak dobrze Czesi umieją robić propagandę, świadczy naprzykład taki fakt: na turnée w Anglii znajduje się dziecięca orkiestra czeska. Gra na wysokim poziomie, wiek muzykantów, oryginalność pomysłu roztkliwiają zimnych synów Albionu. Budzą w nich żywe odruchy sympatii dla narodu tak od kołyski już oddanego tej sztuce. Mali artyści po koncercie, czując odpowiedni nastrój, wydobywają z zanadrza wzory zabawek czeskich, oczywiście najtańszych, najładniejszych, na gusta angielskie robionych, a z zabawkami konkretne oferty czeskich firm handlowych. Zupełnie już rozbrojeni Anglicy „ulegają" i zamawiają. Grubo zamawiają. Takie tournée po Anglii dało eksperymentom zabawek w Czechach zamówień na sumę 30 milionów kcs.

Takie to zadania i braki pochłaniają społeczeństwo czechosłowackie, ujęte w karby planowania, na początek tylko dwuletniego. Czesi są karni. Ale wszystkim tym, którzy stwierdzają, że nie sztuka być karnym, gdzie nie ma posunięć śmieszych — można odpowiedzieć, że pozory mylą. Przełom w strukturze społeczno-gospodarczej Czech, jaki się dokonał w latach 1945 i 1946, był przełomem ogromnej śmiałości. Czechy przedwojenne były państwem par excellence liberalnym, nie znającym pojęcia innej inicjatywy, jak prywatna, dostającym drgawek na dźwięk słowa etatyzacja. Czechy dzisiejsze budują w oparciu o ustawę nacjonalizacyjną i o planowanie państwowe.

Politykę gospodarczą Czech powojennych charakteryzuje uznania godne połączenie trzeźwości wyliczeń ze śmiałością planów i decyzji.

Lech Niżyński

O słowach niepoważnych i słowach przekory

Miałem dać spokój i nie ruszać licha. Ale mię sprowokowały „Słowa poważne i niepoważne" p. d. h. w Nr 16 „Dziś i Jutro", słowa raczej z legitymacją drugiego tylko przymiotnika w tym wypadku, gdy d. h. przyznaje komuś prawo niesłusznego objeżdżania drugiej osoby (nawet rezerwując to prawo ad personam Kisiela).

Nie usprawiedliwia go mym zdaniem nawet ta okoliczność, że dopuszcza się wyłomu w ogólnej zasadzie pod wpływem zadowolenia z racji powrotu Kisiela do „Tygodnika Powszechnego". Nastrój zadowolenia rozumiem i nawet go podzielam.

Kiedy jadąc pod Kraków na t. zw. eufonicznie „wczasy świąteczne", wyciągnąłem z kieszeni ostatni numer „Tygodnika" i zoczyłem podpis Kisiela, nie mogłem się powstrzymać od przeczytania jego artykułu „O wszystkim i o niczym", choć mi litery skakały w trzęsącym się autobusie (litery mikroskopijne — „Tygodnik" to najekonomiczniej drukowane pismo w Polsce, to też do jego studiowania trzeba specjalnych szkieł powiększających). I nie żałowałem zachodu, bo to przednia przyjemność obserwować harce literackie w szlachetnym gatunku stylowym.

Ale przyznawanie jakichś specjalnych przywilejów, a tym bardziej korzystanie z nich, to sprawa inna. To rzecz niebezpieczna

Doznał tej prawdy na własnej skórze sam właśnie Kisiel, (że muszę to jeszcze przypomnieć), pozwalając sobie na „Sprzysiężenie" równolegle z rzeczami, wręcz przeciwnymi „Sprzysiężeniu" pod względem ogólnej atmosfery. Korzystał niekiedy z takiej swobody pisarskiej ongiś nieodżałowanej pamięci Adolf Nowaczyński: jego świetne np. „Ofensywy" w „Myśli Narodowej" niepokojąco kolidowały z enuncjacjami choćby w „Wiadomościach Literackich". Ta uprzywilejowana dwutorowość nie wyszła mu na zdrowie. Nie wyszła, jak wiadomo, na zdrowie również i Kisielowi, który werką, zacięciem polemicznym, giętkością słowa przypomina tamtego istotnie największego polemicznego felietonistę Polski przed wojennej (tutaj muszę zaaprobować kisielową cytatę z „Beniowskiego" na czele jego artykułu).

Nie chcę bynajmniej replikować p. Kisielewskiemu. Chcę mu podziękować bardzo krótko za potwierdzenie i aprobatę tego, co chciałem powiedzieć i co—śmiem sobie pochlebić — wyraziłem w swoich skromnych wywodach. Nawet tego nie zarzuci mi p. Kisielewski, bym chciał wypędzić z twórczości literaturę „estetyzującą" i „pschologizującą". Powstrzymałem się przecie w zapędach ostracyzmu (mowa o tym w dopisku), choć trudno takiej twórczości przyznać rangę wyższą ponad „marginesowej". Jesteśmy, wydaje mi się, zgodni w podstawowej tezie, że dla prawdziwej, wielkiej sztuki potrzebne jest właściwe tło wielkiej kultury ogólnej. Teza ta wynika przecie z całości mego artykułu, jest wyraźnie sformułowana również w wywodzie konkluzyjnym.

Rozumiem, dlaczego mu się nie spodobała „Problematyka literatury". Wiem, ale nie powiem, przynajmniej tym razem (jeżeli redakcja „Dziś i Jutro" pozwoli mi jeszcze zabrać głos w tej sprawie). A co się tyczy „pryncypialności", chyba jej tam nie było. Jest zasadnicze postawienie sprawy, która może domaga się szczegółowszego rozpracowania. Inaczej jednak w takich sprawach nie można pisać.

Co innego jest wsiadanie na wysokiego konia, grzmienie patetycznymi i wzniosłymi frazesami. To wszystko we mnie samym budzi przekorę.

Nie tylko w Kisielu.

Jest to tylko dowodem, że się człowiek jeszcze trzyma w jakiej takiej formie, że nie stetryczał i nie zbelfrzał (w pewnym starym, społecznym, nie państwowym gimnazjum warszawskim; wychowało ono dla Polski kwiat młodzieży, który jednak mimo wszystko zaowocował dla kraju — mimo nieprzyjaznej aury sanacyjnej i mimo długotrwałego u nas mrozu niemieckiego).

Zresztą tetryczenie może człeka znagła złapać — nawet przy klawikordzie, jak również — chętka mentorowania z palcem wskazującym na wysokości własnego

nosa. Wielki Boże, jakie to nudne. Oprócz proustowskiej herbaty (przepadam za nią w naturze) trzeba było jeszcze do kompletu również nowej i oryginalnej— zdaje się, że irzykowskiej proweniencji— estetycznie namalowanej głowy polskiej kapusty. To również tak nowe, jak i królowa Bona, czy odkrycie Ameryki.

Tak, tak, panie Stefanie, z namaszczeniem nie jest Panu do twarzy. Hieratyczne pozy niech Pan lepiej zostawi mentorom zawodowym — z gimnazjum nowego czy starego typu.

Wolę Kisiela w postawie zapaśnika z floretem w ręku, tak jak się zarysował w pierwszej części swego ślicznego artykułu; część ta świadczy, nawiasowo mówiąc, że odpoczynek, choćby przymusowy, zawsze dobrze robi.

Z tego zresztą nie ma wynikać, bym miał życzyć Kisielowi powtórnej fazy wypoczynkowej. Wprost przeciwnie.

Niech odpoczywa wtedy, kiedy sam tego zapragnie i niech pisze co tydzień swoje „neuwertowskie" ofensywy. Chciał Pan rady, ma Pan tytuł, kiedy „pod włos" już spowszechniało.

Przed wojną czekałem na świeży numer „Myśli Narodowej", by się odświeżyć skrzącym się brylantowo dowcipem Nowaczyńskiego. Przyznam się bez wstydu, że z tym nastawieniem m. in. biorę do ręki świeży numer „Tygodnika" (bez pomniejszenia w niczym „ciężkiej wagi" dogłębnych artykułów ks. Piwowarczyka).

Quod felix, faustum etc.

Choćby mię po raz wtóry chciał ogolić „pod włos" ten straszny „cyrulik krakowski" w rezurze (tak, zdaje się, mówią w Krakowie) przy ul. Wiślnej.

Aleksander Gostecki

Towarzystwo Św. Wincentego à Paulo

Wojna tak dalece zatarła nawet pamięć wielu dzieł czasów pokoju, że nie tylko młodsze pokolenie potrzebuje pouczenia, ale i starsze przypomnienia, czym są i jakie mają zasługi Konferencje Towarzystwa św. Wincentego à Paulo.

Założyciel tego, istniejącego już pięć ćwierci wieku Towarzystwa, świątobliwy Fryderyk Ozaman, miał na myśli nadać dobroczynności prywatnej taki kierunek, aby połączyć korzyść materialną nędzarzy z korzyścią dla duszy tych, którzy czynią miłosierdzie. Celem jego była nie filantropia, nieraz oparta więcej na próżności niż na dobrym sercu, lecz wymagająca nieraz ofiary swych wygód, osobista i indywidualna opieka nad ubogimi, polegająca na odwiedzaniu ich we własnym mieszkaniu, nie tylko dla zaniesienia jałmużny, lecz także dla dokładnego zapoznania się z ich potrzebami i całym trybem życia, co więcej z ich stanem duszy i umysłu, udzielania pociechy w smutkach i strapieniach, nawracania w razie potrzeby na dobrą drogę i nakłaniania do zbożnego i religijnego życia. Taka jałmużna w myśl statutów Towarzystwa ma uszlachetniać obie strony, przeciwdziałać żebractwu, obejmować wstydzących się żebrać, a przez bezpośrednie zetknięcie posiadających z nędzarzami, działać kojąco pod względem społecznym i być prawdziwym tytułem do zasługi przed Bogiem.

Gdy w 1932 roku obchodzono uroczyście w Paryżu stulecie założenia pierwszej Konferencji św. Wincentego, wielki ten zjazd światowy stał się imponującym przeglądem działalności i potężnego rozwoju Towarzystwa na obu półkulach. Przy naszym powojennym braku źródeł archiwalnych trudno piszącemu te słowa poprzeć je ścisłymi datami, ale faktem jest, że wyniki nie tylko w kolebce Towarzystwa, t. j. we Francji, lub w bogatych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ale i w małych krajach, jak Belgia lub Szwajcaria, okazały się niezmiernie doniosłymi. Skromnie wyglądała przy tym Polska, z liczbą Konferencji, sięgającą ledwie paru setek, ale i tu rozwój Towarzystwa w ciągu dwudziestolecia jej swobodnego bytu mógł napawać, jeśli nie dumą, to zadowoleniem i otuchą na przyszłość. Należy bowiem zważyć, że przed pierwszą wojną światową tylko Poznańskie i Galicja miały możność zakładania Konferencji, podczas gdy w zaborze rosyjskim były one zabronione i tylko w Warszawie żyły podziemnie i to na bardzo małą skalę. W tamtych dwóch zaborach pierwsze konferencje powstały mniej więcej w połowie XIX wieku.

Podstawową komórką Konferencji św. Wincentego jest parafia. Towarzystwo jest bowiem wprawdzie świeckie, ale zasadą jego jest uległość hierarchii duchownej i ścisła z nią współpraca. Członkiem może być każdy katolik, musi jednak pamiętać, że wstępując do Towarzystwa przyjmuje pewne ścisłe obowiązki natury moralnej i organizacyjnej, jako to odwiedzanie ubogich i udział w periodycznych zebraniach Konferencji, oraz w odbywających się cztery razy do roku zebraniach ogólnych i nabożeństwach z obowiązkową spowiedzią i wspólną Komunią, do czego przywiązane są odpusty. W miastach, gdzie jest wiecej Konferencji, istnieją władze wyższe pod nazwą Rad Miejscowych, wreszcie są trzy Rady Wyższe w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, które podlegają bezpośrednio Radzie Generalnej w Paryżu. Lwów, podlegający Radzie Wyższej Krakowskiej i Wilno — Warszawskiej, miały swoje Rady Centralne jako instancje pośrednie.

Niech ten krótki szkic będzie dla praktykujących katolików zachętą, by przystąpili ochoczo do zakładania nowych Konferencji, a przekonają się, jak wielkie znajdą zadowolenie wewnętrzne w tym chwalebnym i w licznych oświadczeniach Stolicy Świętej gorąco polecanym i błogosławieństwem Apostolskim obdarzanym dziele. Dotyczy to zwłaszcza inteligencji miejskiej, na wsi bowiem warunki tak pod względem potrzeb, jak i i innych warunków są nieco odmienne.

Konferencje nie tylko nie wchodzą w drogę reprezentującemu w dziedzinie miłosierdzia Akcję Katolicką towarzystwu „Caritas", które objęło dziś rolę kierowniczą, lecz przeciwnie mogą i powinny być filarami tegoż i dostarczać mu najbardziej wypróbowanych i najgorliwszych pracowników. Że Towarzystwo św. Wincentego jest w założeniu swym organizacją świecką, a towarzystwo „Caritas" organizacją kościelną, nie stanowi do tego przeszkody. Także zasięg i metody działania obu Towarzystw są odmienne.

Co do strony finansowej, w Towarzystwie św. Wincentego składki są co do swej wysokości dobrowolne. Zbiera się je na zebraniach Konferencji w sposób dyskretny „do woreczka", tak że nikt nie jest skrępowany swoim stanem majątkowym.

O założeniu Konferencji decyduje prowizorycznie Rada Wyższa na podległym jej terytorium, ostateczne zatwierdzenie zależy od Rady Głównej w Paryżu, która w tym celu wystawia w przepisanej formie dyplom.

Stanisław Okęcki

Czar munduru

Kiedy tak rozglądam się w tłumie, spacerującym w niedzielne popołudnie po ulicach Warszawy, zwraca moją uwagę olbrzymia ilość ludzi w mundurze. Ba, jestem nawet zdania, że przewyższa ona znacznie liczbę tych osób umundurowanych, które widziało się w uniformie w kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Jednak najbardziej dziwnym z tego jest to, że mundury wojska czy milicji, stanowią w tym tłumie jedynie nieznaczną mniejszość, natomiast spotyka się coraz to więcej fantastycznych kostiumów — jeżeli wolno mi się tak wyrazić — własnego chowu.

Zacznijmy od naszych milusińskich. Za moich czasów, harcerze wybierający się na ćwiczenia, wyglądali jak... harcerze. Dziś stanowią najbardziej barwną mozaikę strojów własnego pomysłu, oscylującą między bojowym wyekwipowaniem strzelca spadochronowego a Hitlerjugend. Jestem zwolennikiem teorii, że na kształtowanie się mody męskiej wpływają w znacznym stopniu aktualne ubiory wojskowe; typowym przykładem zdają się tu być stroje guralskie, które — jak zapewniają uczeni badacze — wywodzą się od mundurów jednego z austriackich pułków, stacjonującego jeszcze w ubiegłym stuleciu na Podhalu. Niemniej jednak młodociany zuch w długich portkach, wpuszczonych w buty (vide: nowoczesna piechota), z tornistrem z krowiej skóry na plecach (vide: pozostałość po Wehrmachcie) i kurtce wojskowego kroju, usianej przeważnie odznakami na naramiennikach, sprawia wrażenie niepasujące do tak pokojowej organizacji, jaką jest harcerstwo.

Ale i tak zwani dorośli nie ustępują zupełnie młodzieży w tych zabawach. Zdziwiłem się niedawno na widok oryginalnego munduru SA, w jakim paradował jakiś zupełnie niezaczepiany przez milicję jegomość, ale się okazało, że to jakiś generał leśnictwa, czy coś w tym rodzaju.

Rekord pomysłowości bije jednak „Lot". Uważałbym za zupełnie usprawiedliwione i nawet konieczne umundurowanie personelu latającego Polskich Linii Lotniczych, ale doprawdy, młodszy pomocnik starszego podsekretarza tej instytucji, paraduje w mundurze admirała szwoleżerów. Piękne panie, również prujące przestworza codziennie od 8 do 15 na maszynie do pisania, wyglądają także jak Amazonki XX wieku. Nigdy nie byłem w biurze „Lotu", to jest chciałem powiedzieć w Głównej Kwaterze Polskich Linii Lotniczych, ale napewno wygląda tam jak w sztabie podczas bitwy. W jednej sali specjalne aparaty radarowe wyłapują napewno pasażerów na gapę, na korytarzu woźny przerabia „wstań—padnij" z interesantami, a na dziedzińcu zmotoryzowane dywizje czekają tylko na rozkaz Wodza, by rozpocząć „Operację Powązki", pod którym to kryptonimem kryje się zapewne dowożenie pasażerów do „Dacot'y".

Tak, tak, to wszystko niby takie zabawne, ale mundurów wciąż przybywa. Obawiam się poważnie, że jak tak dalej pójdzie, to zaraza mundurowania rozszerzy się na inne instytucje i ministerstwa. Zostaną potworzone specjalne wydziały i departamenty odzieżowe, które będą komponować specjalne mundury dla każdego resortu. Pracownicy Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Żeglugi nosić będą ładne ubranka marynarskie i kotwicę, wytatuowaną obowiązkowo na przedramieniu lub na piersi. Funkcjonariusze Ministerstwa Rolnictwa wdzieją siermięgi i sukmany, a Ministerstwa Aprowizacji — wytworny kostium o szlaku przypominającym wzór kartki I-ej rodzinnej. Największą skalę wyboru pozostawi się pracownikom MSZ-etu, którzy przywdzieją stroje tego państwa czy części świata, która stanowi ich zakres zainteresowań. Oczywiście, poczyni się pewne koncesje dla mających do czynienia z problematyką Wysp Południowych, ale to ze względu zarówno na nasz klimat, jak i na moralność młodzieży szkolnej. Urzędnicy miejscy będą chodzić w cywilu, mając jedynie w klapach marynarek duży medalion z wizerunkiem ob. Ładosza, uwieńczonym girlandą wawrzynu i dewizą orderu Podwiązki: „hańba temu, kto źle o tym myśli".

Można też sobie wyobrazić, ile pomysłowości włożą poszczególne partie polityczne w umundurowanie swych członków. Zmieni to oczywiście do reszty charakter naszej ulicy i z biegiem czasu tylko cywile będą mogli wsiadać do tramwaju przez przednią platformę. Nie jest też wykluczone, że dojdzie i do tego, że strażak idący do swej lubej na randkę, będzie kładł dla oryginalności zwyczajne, marynarkowe ubranie.

Makary

APEL

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

Dla nikogo nie jest chyba tajemnicą, że „Dziś i Jutro", jako pismo oparte jedynie o prace własnego zespołu walczy z ogromnymi trudnościami. Mimo tego trwa i rozwija się. W ciągu półtorarocznej działalności przetrwaliśmy czterokrotną zwyżkę cen druku, czterokrotną zwyżkę cen papieru (ostatnio o 400 procent), zwyżkę stawek płaconych za kolportaż i kilkakrotne zwiększenie kosztów wysyłki pocztowej.

Ambicje nasze jednak nie maleją. Pragniemy dawać naszym czytelnikom pismo coraz lepsze. W związku z tym 20-STY NUMER TYGODNIKA Z DN. 18-GO MAJA UKAŻE SIĘ W ZWIEKSZONEJ OBJĘTOŚCI 12 STRON, W tej objętości ukazywać się będzie nadal. Niestety wyższą będzie także jego cena. Za pojedyńczy numer WYNIESIE ZŁ. 20.—. Jest to konieczne, jeśli pismo ma wychodzić nadal. Utrzymujemy natomast do dnia 1.7 b. r. NIECO TYLKO PODNIESIONĄ CENĘ PRENUMERAT zamawianych bezpośrednio w redakcji, aby Ci wszyscy, którzy są w trudniejszej sytuacji materialnej nie byli pozbawieni swojego tygodnika. Wyniesie ona 60 zł. miesięcznie i 180 zł. kwartalnie.

Zespół „Dziś i Jutro" jest zdany jedynie na własne siły. Pracuje w wyjątkowo trudnych warunkach. Jeśli pragniecie przyjść mu z pomocą ZDOBYWAJCIE NOWYCH PRENUMERATORÓW I ODBIORCÓW. Jeśli Was stać na to WPŁACAJCIE OFIARY na fundusz prasowy „Dziś i Jutro", KONTO PKO I-727.

Niech zawiązana więź między redakcją, administracją a Czytelnikami trwa nadal, abyśmy nie osłabli w pracy dla przyszłości Katolicyzmu i Polski.

Z bieżących zagadnień gospodarczych

Leży przed nami 3-letni Plan Odbudowy Gospodarczej, składający się z projektu ustawy i materiałów statystycznych.

Sporządzenie tego planu wymagało nie wątpliwie wiele pracy i zmusiło biorących w niej udział do przemyślenia szeregu podstawowych zagadnień gospodarczych. Podane cyfry budzą zainteresowanie. Sformułowania niektórych postanowień są ciekawe. Lecz zdaje się, że do tego ograniczają się dodatnie strony całego Planu.

Przede wszystkim uderza niezwykła szczegółowość, która w nowych warunkach nasuwa poważne wątpliwości co do realności poszczególnych cyfr. Jest dowodem dużej śmiałości rzucać na przestrzeń trzech lat cyfry produkcji zależnej od tylu elementów, całkowicie lub prawie nieznanych.

Gdyby jednak te przewidywania, wyrażone w ścisłych cyfrach, stanowiły materiały statystyczne, istniałby tylko problem ich większej czy mniejszej realności. Jednakże cyfry te stanowią w wielu przypadkach części składowe norm prawnych, brzmiących kategorycznie, a więc stwarzających zobowiązanie do dokonania osiągnięć przez te cyfry wyrażonych. I tutaj powstaje problem niezwykłej wagi. Problem autorytetu prawa. Czyż nie jest bowiem podważaniem autorytetu prawa stwarzanie takich norm prawnych, które są oparte w wielu przypadkach na fikcji i skutkiem tego nakazy wynikające z tych norm są również fikcją.

Art. 100 mówi, że wykonanie ustawy powierza się Prezesowi Rady Ministrów i zainteresowanym Ministrom. Czyż Minister Przemysłu może zobowiązać się, że produkcja np. ropy naftowej wyniesie 195,0 tys. ton w 1949 r., a produkcja żarówek 22,0 milj. sztuk, przędzy bawełnianej 109,0 tys. ton i t. p. Wydaje się, że Minister Przemysłu może traktować te cyfry, jako cyfry zamierzeń, ale w żadnym razie nie może być zobowiązany do ich osiągnięcia i nie może przyjmować takiego zobowiązania.

Gdyby cały plan gospodarczy miał formę programu gospodarczego, możnaby mu zarzucić zbyt wielki optymizm, ale należałoby równocześnie podnieść jego dynamizm, tak konieczny w naszej sytuacji gospodarczej. Natomiast nadanie mu charakteru ustawy zaciera jakgdyby jego treść gospodarczą, stwarzając dziwny okaz legislacyjny.

Wydaje się, że twórcy planu odbudowy przyjęli jako założenie, że w Polsce istnieje system gospodarki planowej. Niestety, nie tylko w tym przypadku można stwierdzić fakt przyjmowania za rzeczywistość nie to co jest, lecz to co się chce. Jesteśmy jak najgorętszymi zwolennikami gospodarki planowej, lecz równocześnie twierdzimy, że system ten może być realizowany jedynie w drodze ewolucji w miarę stwarzania odpowiednich dla niego warunków. Otóż podkreślamy, że póki nie nastąpi właściwe i ostateczne zorganizowanie sektora państwowego, póki nie nastąpi włączenie sektora prywatnego do systemu planowania, póki nie zaistnieje jeszcze cały szereg innych okoliczności, póty brak będzie warunków do wprowadzenia systemu gospodarki planowej.

Przyjmowanie założenia, że w Polsce istnieje system gospodarki planowej, jest fikcją, a przyjmowanie fikcji jako założenia dla działalności gospodarczej, jest rzeczą bardzo niebezpieczną.

Na zakończenie jedna uwaga na marginesie. Nasi sąsiedzi Czesi też mają plan, ale tylko dwuletni, znacznie mniej szczegółowy, mający charakter programu gospodarczego (ł)

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks dr Win Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

Czytelnik uważa, że..

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Szanowna Pani Zofio!

W tym czasopiśmie z d. 30.III wydrukowano Pani list, będący odpowiedzią dla mnie. Ponieważ Pani twierdzi, że Jej opinia jest „głosem większości Polek, matek i kobiet", odpisuję.

Pisze Pani: „Podczas wojny światowej 1914 roku straciłam ojca, w wojnie obecnej straciłam męża, który został zamordowany. Zostałam z dwoma młodymi synami. I niejednokrotnie zadaję sobie pytanie, po cóż ich urodziłam i na co ich chowam. Chyba po to, aby gdy dorosną do odpowiedniego wieku, wysłano ich na rzeź, aby zamordowano ich tak jak tysiące innych". „Czy po to są Polsce potrzebni, aby wysłać ich kiedyś na rzeź?"

Współczuję Pani, ale nie głównie dlatego, że Pani straciła ojca i może męża. Bo każdy z nas kogoś stracił. Żal mi jest Pani, bo Pani nie wie, po co Polka wydaje dzieci na świat. Otóż wydaje je dla Polski. Dlatego nie jest taką tragedią, gdy mężczyzna ginie w czasie wojny; to jego obowiązek; natomiast jest tragedią, gdy Polka nie chce mieć dziecka, bo skazuje swój naród na wymarcie: im mniej ma dzieci, na tym szybszą śmierć skazuje Polskę. Na przykład naród, gdzie każde małżeństwo miałoby tylko po dwoje dzieci, już po 70 latach zmniejszyłby liczbę swej ludności o połowę. I tak szłoby dalej.

Czy Pani zdaje sobie sprawę, że na przykład dziś głosuje się za Ziemiami Odzyskanymi... liczbą dzieci we własnym małżeństwie; bo chyba Pani rozumie, że ciężko nam będzie utrzymać te Ziemie, mając tam tylko 50 ludzi na kilometr kwadratowy, gdy Niemcy obok już liczą 200 ludzi na tymże kilometrze. Dlatego radzę czym prędzej się uświadomić: przeczytać chociaż jedną książkę napisaną w sposób zdrowy i na poziomie europejskim, na przykład „Świadome macierzyństwo" Marii Kępińskiej.

Temperament proszę ulokować w pracy wychowawczej nad synami, bo dziś chłopiec dorastający wymaga niesłychanie wiele opieki ze strony matki. Małych dzieci może mieć Pani wbród... bez „przyjaciela": wszak posiadamy dziś w Polsce tyle sierot! Proszę wziąć ich z pół tuzina. Mądra kobieta i mądry naród lokują nadmiar energii nie w dogadzaniu sobie, ale w służbie społecznej. Dziś tej służby jest nieprzebrana ilość dla kobiet samotnych i po to mamy obecnie tak ogromną ilość kobiet, które nie będą mogły wyjść za mąż. Wprawdzie nie mogą one wyjść za mąż, ale mogą zorganizować się w zespoły, niosąc pomoc narodowi na wszystkich odcinkach życia, zarazem zapewniając same sobie egzystencję materialną. Jest to drugie niesłychanie doniosłe zadanie świata kobiecego poza pierwszym, już wspomnianym: wychowaniem ogółu Polek do macierzyństwa. Albo tedy kobiety zmuszone do samotności wykonają owo chlubne zadanie, albo rozbijać będą małżeństwa i ściągać naród do poziomu bagna.

Na wypadek, gdyby Pani dała życie dziecku, proszę się nie zastanawiać, czy Pani ma zostać matką, czy nie, ponieważ kobieta jest matką od chwili, gdy poczęła, nie zaś dopiero wtedy, gdy wydaje na świat. Posiadamy tyle dzieci, ilu daliśmy życie, a nie tyle, ilu pozwoliliśmy się urodzić. Fakt, że lęka Pani, co powiedziałaby wówczas rodzina męża i rodzina Pani, lecz nie boi się Pani zamordowania niewinnego maleństwa, dowodzi, że Pani liczy się tylko z tymi, którzy mogliby znieważyć Panią czynnie, natomiast nie liczy się Pani z maleństwem, które nawet nie może krzyczeć w swej obronie.

Jak może Pani pozwolić, by za brak charakteru Pani i za tchórzostwo — płaciło dziecko Pani śmiercią. Co zaś do „lekarza", który by Pani „pomógł" do dzieciobójstwa, to, wybaczy Pani, ale to nie byłaby pomoc i to nie byłby lekarz, ale wykolejeniec. Niestety, takich lekarzy liczymy bardzo wielu, ale też dlatego macy czasy bomb atomowych. Jaki człowiek, takie czasy.

Pisze Pani: „...dopóki życie ludzkie... nie będzie poszanowane w swej godności, my matki rodzić dzieci nie będziemy". Ależ, Droga Pani: przede wszystkim Pani nie szanuje życia ludzkiego, skoro chce Pani zabijać swoje dzieci. Dziś, w czasach świadomego macierzyństwa, bardzo łatwo jest poznać, kto szanuje człowieka, a kto tylko o tym deklamuje. W tym celu trzeba zobaczyć, jak kto szanuje dziecko nienarodzone.

Pisze Pani: „Stwórzcie warunki nowe— matkom i naszym dzieciom, pozwólcie nam mieć pewność, że są one potrzebne dla dobrych celów", a wtedy będzie pełno dzieci „ku uciesze rodziców i społeczeństwa".

Walka o warunki dla rodzin dzietnych ma w Polsce klimat tylko wśród tych, co chcą dzieci. Im tych ludzi więcej, tym są lepsze warunki do „stworzenia warunków", których Pani żąda. Ale ludzi tych jest coraz mniej i Pani do nich nie należy. Jednak warunki materialne, to nie wszystko: na przykład w USA są cudowne warunki, lecz nie chcą tam dzieci.

I jeszcze jedno. Pani milczy o tym, czego żąda od Pani Bóg w materii przez nią poruszanej. Bóg nakazuje szacunek dla życia dziecka nienarodzonego i zabrania zabijania go w każdym absolutnie wypadku, chociażby nawet i matce i dziecku groziła śmierć, jeśliby nie przerwano ciąży (kanon 2350). Bóg przez usta Kościoła tłumaczy nam, że rodzimy dzieci przede wszystkim dla Niego. W świetle owej mądrości bożej czymże jest to, co Pani napisała?

Dlatego z głębokim współczuciem dla Pani i dla takich jak Pani kreślę się

Walenty Majdański

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

W odpowiedzi ks. prob. Szymale

Nawiązując do wypowiedzi p. Zofii Z. w Nr 13 (70) pisma „Dziś i Jutro" i ataku na tę wypowiedź ks. Szymały w Nr 16 (73), uważam, że p. Zofii głównie chodziło w swej wypowiedzi o poszanowanie godności człowieka i poprawę warunków matki i dziecka, gdyż brak tych warunków najczęściej powoduje ograniczanie narodzin. Chyba w tym nie ma nic takiego, co tłumaczyłoby zapomnienie się ks. Szymały, który nazywa p. Zofię Z. ulicznicą i który uważa, że wypowiedzi w rubryce „Czytelnik uważa że..." powinny być poważne i rzeczowe — słusznie. Ale czy wypowiedź księdza jest poważna i rzeczowa? Zdaje mi się, że wyrażenie swego zdania przez oburzenie i to w formie nie przyzwoitej nie jest chyba poważne i rzeczowe.

Wątpię, by za pomocą wyzwisk udało się księdzu sprowadzać owieczki z błędnej drogi. Ks. wątpi o katolickości pisma „Dziś i Jutro", ja nie wątpię, ale wątpię, by osądzenie kogoś od czci i wiary było w duchu katolickim.

Z poważaniem stały czytelnik

Władysław M., Lublin.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

List p. Zofii Z. wywołał — jak to było do przewidzenia — żywy oddźwięk czytelników. Nie zamierzam omawiać meritum tego listu, gdyż sprawy w nim poruszone szerszej dyskusji nie wymagają: znajomość Dekalogu wystarczy, by je należycie rozwiązać. Interesuje mnie natomiast, co skłoniło Redakcję do opublikowania tego listu, bez jednoczesnej wypowiedzi ze strony pisma? Przypuszczam, że mogło to być niefortunne przeoczenie, którego skutki nie dały długo na siebie czekać.

Nr 16 „Dziś i Jutro" przyniósł nam listy czytelników oburzonych zarówno na autorkę listu, jak i na Redakcję, która list tej treści, bez komentarza, w katolickim piśmie wydrukowała.

Czy nie lepiej było skierować panią Z. Z. prywatnym listem do dobrego spowiednika, a czytelnikom oszczędzić tej „sensacyjnej" lektury i dyskusji? Myślę, że lepiej, — chyba że, chyba że „Dziś i Jutro" pozazdrościło sukcesu „Przyjacielowi" z Ekspressu...?

Bo jeżeli tak, to istotnie jest tu pole do rozwinięcia szerszej,a cennej rywalizacji.

„Przyjaciel" z Ekspressu ma bardzo wielu korespondentów, a raczej korespondentek z problemami typu pani Z. Z. I listów ich bez komentarza lub „porady" nie drukuje; rady zaś te są zawsze „praktyczne", zawsze „życiowe", czasem nawet niesprzeczne z nakazami moralności, — i zawsze całkowicie amoralne.

„Przyjaciel" lawiruje w gąszczu zagadnień wychowania, wierności małżeńskiej i narzeczeńskiej, stosunku dzieci do rodziców i rodziców do dzieci, przyjaźni i t. p., nie zawadzając nigdy o pojęcia religii, cnoty, obowiązku, czystości, poświęcenia.

Czytając tę korespondencję, odnosi się wrażenie, że żyjemy dziś w świecie wartości li tylko utylitarnych i uzualnych, że jakiekolwiek normy moralne nie zostały jeszcze wykryte i ustalone, jesteśmy w czasach przed chrześcijaństwem i przed Dekalogiem.

Najistotniejsze problemy, najboleśniejsze sprawy, dane do rozwikłania dobrotliwemu „Przyjacielowi", zaopatrzone jego zmaterializowaną receptą, idą w świat i zatruwają setki umysłów chwiejnych czy nieuświadomionych, a spragnionych rozwiązań „życiowych", łatwych i niebolesnych.

Magia „drukowanego słowa" rozprasza resztki wątpliwości, mogących się tu i ówdzie nasuwać.

Ponieważ, jak się po liście pani Z. Z. okazało, „Dziś i Jutro" chce i może na swych szpaltach udzielić miejsca tego rodzaju korespondencji, proponuję, by korespondentom Ekspressowego „Przyjaciela" odpowiadać stale w sprawach ogólnie interesujących i najbardziej fałszywie i sprzecznie z nakazami moralności katolickiej przez niego naświetlonych.

Niech te wszytkie osoby, które dla rozwikłania swych problemów moralnych muszą się uciekać do „porad" w pismach, znajdą w „Dziś i Jutro" odpowiedź na dręczące je pytania, zgodną z normami moralności katolickiej, nie zaś wymyślonymi ad hoc przez świadomie lub nieświadomie szkodliwego „Przyjaciela".

M. S

LIST OTWARTY DO ORGANÓW KONTROLI PRASY

Zwracam się z uprzejmym zapytaniem, czy Obywatele nie uznaliby za słuszne i celowe przeszkadzania w rozpowszechnianiu utworów, zawierających znamiona pochwały pijaństwa?

Przykładem takiego utworu może być „Moral Insanity" Janusza Minkiewicza w Nr 105 „Przekroju", felieton Jerzego Zaruby „Z Pegazem pod gazem" tamże(!), oraz cały szereg innych, w tym samym i w innych pismach.

Pijaństwo jest nałogiem wstrętnym, w chwili obecnej zaś przybiera cechy i rozmiary klęski społecznej. Walka z nim jest nakazem chwili. Na tle konieczności tej walki utwory przedstawiające nałóg pijaństwa w świetle wesołym, sympatycznym i pochlebnym, utwory szydzące z publicystów, którzy z tym nałogiem walczą, mają wszelkie znamiona społecznego szkodnictwa.

Jeżeli samo pijaństwo nie jest przestępstwem w świetle obowiązujących ustaw i wobec tego pochwała pijaństwa nie może być uważana za pochwałę przestępstwa — to nie mniej alkohol jest przyczyną tak wielu rozmaitych naruszeń prawa, od najlżejszych do najpoważniejszych, powodem tylu społecznych nieszczęść i złowrogiej dziedziczności, że wychwalanie pijaństwa uznać można za stwarzanie okoliczności sprzyjających przestępstwu.

Jeżeli pewni przedstawiciele sfer literackich uważają za słuszne oddawać się pijaństwu, nie jest to jeszcze dostatecznym powodem, aby zachwalali je społeczeństwu. Sylwetka „sympatycznego pijaka" powinna raz nareszcie zniknąć z naszej literatury, felietonu i satyry — w pijaństwie niestety nic śmiesznego, ani sympatycznego dopatrzyć się nie można.

Myśli powyższe nie są nowe, wyrażał je bowiem już szereg publicystów, myślących głębiej, niż cytowany autor i jemu podobni. W imieniu tych właśnie publicystów proszę Szanowne Organa Kontroli Prasy o poważne przemyślenie zagadnienia i przeprowadzenie odpowiedniej akcji.

Andrzej Józef Kamiński

LIST OTWARTY

W swoim czasie ogłosiłem w „Przekroju" artykuł p. t. „Ziutek nie chce spekulować", w którym broniłem w sposób jasny i żadnej wątpliwości nie ulegający t. zw. oficjalnych ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej. Być może, że broniłem i czegoś więcej, a mianowicie zasady ciągłego rozszerzania tych uprawnień, zwłaszcza zaś bezkompromisowej obrony i wcielania w życie raz już osiągniętych praw i przywilejów. Artykuł napisany był jasno i przejrzyście, powiedziałbym nawet przystępnie i popularnie, tak, że nie trzeba było specjalnej inteligencji, ani wrodzonej, ani nabytej, aby go zrozumieć. Przeciwnie — tylko umysł słabowity mógłby czegoś w nim nie pojąć.

Tym niemniej stała się rzecz nieoczekiwana. Były redaktor „Szpilek", były redaktor „Robotnika", obecny redaktor „Tygodnia", p. Zbigniew Mitzner ogłosił w 15 (39) numerze tego ostatniego czasopisma artykuł p. t. „Przygody Ziutka", w którym usiłuje polemizować z moimi wnioskami. Poza tym sugeruje mi myśli, których nie miałem, atakuje mnie za intencje, których nie miałem i formułuje oskarżenia, równie bezsensowne, jak tendencyjne i demagogiczne. Zdanie, jak: „A o co dobija się dla nich pan Tyrmand? Nie o co innego, jak o pozostawienie im prawa do dalszego grasowania na naszym życiu gospodarczym. Już nie w charakterze kupców - awanturników, ale pod pseudonimem inicjatywy prywatnej..." — wskazuje na to, że pan Mitzner albo nie zrozumiał artykułu, mimo swej opinii dziennikarza o lotnym umyśle, albo... Nie chcę wyciągać wniosków ostatecznych, gdyż mogłyby paść słowa brzydkie...

Rozumiem, że socjalistyczne i spółdzielcze sumienie p. Mitznera zostało boleśnie zranione sympatiami dla ekonomicznego liberalizmu, jakie najwyraźniej z artykułu mego przebijały. Moje sympatie liberalistyczne są rzeczą znaną, chociażby ze względu na ciągłość swego istnienia: były takie same, są i napewno równie mocne pozostaną. Atakować je można przeto z powodzeniem w sposób rycerski i otwarty. Za takie ataki polemiczne będę zawsze tylko wdzięczny.

Leopold Tyrmand

Szeroki horyzont

Sprawy niemieckie

NIEMIECKA MATKA

„Telegraf" berliński z dn 21 marca r. b. podaje następującą rozmowę w berlińskiej kolei podziemnej:

W wagonie siedzi młoda kobieta z trzyletnią dziewczynką. Ponieważ nie było wielkiego tłoku pasażerowie zainteresowali się dzieckiem. Jedna z pań zauważa:

— Takie dziecko przyjemnie mieć, jak się pomyśli, że skoro te dzieci dorosną, nie będzie już wojny!

Matka małej zwraca się ku niej niemal z oburzeniem:

— Naturalnie, że będzie wojna znowu, jak moja mała dorośnie!

— Na miłość boską! — odpowiada nieznajoma pani. — Nie warto by było żyć w takim wypadku!

— Przeciwnie! — odpowiada z zawziętością matka. — Ja żyję tylko tą nadzieją!!

Po tej odpowiedzi w wagonie zapadła cisza.

Pismo usiłuje twierdzić, że to niepoprawna osoba jest wyjątkiem i nie jest prawdziwą matką, ponieważ matki są z natury rzeczy przeciwniczkami wojny — my jednak wiemy swoje. Pozostaje kłopot, jakimi środkami obrzydzić Niemcom wojnę, skoro nie dokonały tego bomby, zniszczenia wojenne i wszystkie ofiary.

MOWA, KTÓREJ NIE WYGŁOSZONO

Redakcja amerykańskiej gazety w Niemczech, „Neue Zeitung", otrzymała następujący list od niejakiego van den Daele z Ditzingen:

„Myślałem długo, jak powinna by się zachować niemiecka delegacja w Moskwie. Pełnomocnik niemiecki winien by może złożyć państwom zwycięskim następujące oświadczenie:

— Moi panowie, wasze narody musiały w imię mojego narodu znosić latami wielkie cierpienia. W imię tego narodu działo się bezprawie i gwałt, w imię tego narodu został on sam wyniszczony do ostatniej kropli krwi. Naród niemiecki nie może oczekiwać, abyście rozróżniali pomiędzy nim samym i nadużyciem jego imienia. W imię narodu niemieckiego rozerwano miliony rodzin. Naród niemiecki pokutuje za to przez cztery miliony jeńców, które jeszcze w dwa lata po zakończeniu wojny znajdują się w waszych krajach; ponieważ wy jesteście zwycięzcami. W imię narodu niemieckiego zginęły miliony ludzi z nędzy pod władzą samowoli. Dzisiaj pokutują miliony ludzi wypędzone ze swoich siedzib, cierpiąc głód, nędzę i choroby; ponieważ wy jesteście zwycięzcami. W imię narodu niemieckiego poświęcono molochowi wojny kwitnące gospodarstwa w waszych krajach. Dzisiaj spłacamy część tych spustoszeń przez wydanie niezbędnych do życia dla pozostałych (po odcięciu terenów wschodnich — przyp. red. „SP") Niemiec urządzeń przemysłowych; ponieważ wy jesteście zwycięzcami. Ale naród niemiecki ma jedno życzenie: pragnie dowieść swojej dobrej woli, aby mógł żyć w pokoju ze wszystkimi narodami ziemi. Naród niemiecki nie domaga się, aby wasze narody wierzyły jego zapewnieniom bez dowodu. Rad jest ze wszystkich układów i przymierzy jego dawnych przeciwników przeciw nowej niemieckiej napaści, gdyż nie mogą one zaszkodzić miłującym pokój Niemcom. Naród niemiecki nie ma do oddania nic, czego wy, zwycięzcy, nie moglibyście sobie wziąć sami — za wyjątkiem swojej przyjaźni. Naród niemiecki proponuje tę przyjaźń wszystkim narodom. Możecie tę propozycję przyjąć, lub ją odrzucić; ponieważ wy jesteście zwycięzcami.

Czy taka mowa przyczyniłaby się do zaprowadzenia pokoju w Europie?" — zapytuje w zakończeniu autor listu.

Na to pytanie redakcja amerykańskiego pisma nie odpowiada i my na nie odpowiedzieć nie możemy. Widzimy natomiast w liście pana van den Daele dwie rzeczy bardzo wyraźne:

Po pierwsze żal, że to „wy jesteście zwycięzcami";

po drugie, chęć wmówienia światu, że wszystko, co się stało, stało się w imię narodu niemieckiego, a nie rękami tego narodu...

Niestety jednak żyje jeszcze kilku świadków

ajk

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m 4.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30
Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia", Widok 24. B-30508 Odbito w drukarni „Czytelnik" Nr 2, Marszałkowska 3/5.